ROK II. Nr. 49 (98) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem 7 grudnia 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



JEDNEM OKIEM... (fot. Metro)

Wojna i pokój

Pozwolę sobie przedewszystkiem zacytować parę opinij — wybranych z pośród tysiąca — a traktujących o pokoju i wojnie.

A więc św. Augustyn, w dziele swem p. t. „De civitate dei" wypowiada następujący pogląd:

„Nie na to jest pokój, aby się zbroić do wojny, ale wojnę na to się prowadzi, aby zyskać pokój. Bądź tedy i na wojnie miłośnikiem pokoju i zwyciężonych obdarz pokojem. Mądrzy wojnę prowadzą dla pokoju".

Gustaw Le Bon jest zdania, iż „pokój jest rzeczą godną, lecz nie mniej i honor jest wielkiem słowem. Dobry jest pokój, ale lepsza słuszność i cześć. Skoro tylko podczas pokoju cośkolwiek mogłoby zagrażać tym postulatom — należy chwycić za oręż".

Starodawne przysłowie węgierskie wyraża opinję, iż jedynie tylko „głusi, ślepi i pozbawieni mowy mogą miłować pokój".

Skończymy wreszcie na Moltkem, który powiada, iż „wieczny pokój jest marzeniem, a wojna koniecznością, niezbędną dla porządku świata, podobnie, jak burza — dla oczyszczenia powietrza i użyźnienia ziemi strumieniami deszczu. W wojnie rozwijają się najlepsze cnoty człowieka: odwaga i zaparcie się siebie, wierność i karność, choćby z narażeniem życia. Bez wojny świat utonąłby w bagnie materjalizmu".

Cudowne i wielce znamienne jest zwłaszcza to ostatnie zdanie. Lepsze są hekatomby ofiar, zwały rumowisk i nędza — od „bagna materjalizmu", do którego moglibyśmy być wciągnieci!... Wojna, w pojęciu prusaka, staje się religją, konieczną odżywką, bez której światu grozi zagłada.

Pogląd ten ma przynajmniej tę wyższość nad innemi, iż znakomicie harmonizuje się z rasą człowieka, który jest jego autorem.

Poco argumentować i usiłować oprzeć równowagę międzynarodową na racjonalnych podstawach — skoro bez wojny zadusimy się.

Sprawa korytarza traktowana z punktu widzenia słuszności i prawa staje się wobec tej opinji mdłym frazesem — pretekstem, gdyż wojować trzeba — dla zdrowia!

Inny prusak — marszałek Luedendorff wypowiada się szeroko i niemniej oryginalnie na ten temat.

Oto więc, mówiąc o powszechnem rozbrojeniu, twierdzi stanowczo, iż jest to utopją, a w ten sposób, w jaki myśl tę usiłują narody zrealizować od chwili zawarcia pokoju — wyraźną agresją w kierunku Niemiec. „Rozbrojenie Niemiec ma zapoczątkować erę powszechnego pokoju i ograniczenia zbrojeń. W samej rzeczy zaś nikt nie myślał o rozbrojeniu, a mocarstwa Ententy i Prezydent Wilson dla formy, dorzucili deklarację o tem, iż walczono w imię haseł pacyfistycznych".

W dalszym ciągu mętnych tych elukubracyj marszałek wsiada na innego konika. Oto bowiem zahacza o tajne matactwa... Żydów i masonów *), którym szczególnie zależało na rozbrojeniu Niemiec. „Rządy mocarstw Ententy i Stanów Zjednoczonych, pozostając pod wpływem owych sił, większą uwagę zwróciły na otrzymane od nich instrukcje, niźli na dobro narodów, które winno było być celem. Nie ulega kwestji, iż zmiana mapy świata i stworzenie nowych warunków politycznych w Centralnej Europie i na Bliskim Wschodzie zadowolić może jedynie tajne mocarstwa Żydów i masonów, których dążeniem jest opanowanie świata drogą zdenacjonalizowania narodów" (sic!).

Przechodząc do sprawy rozbrojenia, marszałek twierdzi, iż wszelkie ograniczenia w tej mierze mogą wywołać fatalne następstwa, gdyż wojny bynajmniej nie wynikają wskutek gotowości bojowej narodów. „Wojna światowa wybuchła z powodu niedostatecznego przysposobienia Niemiec do obrony wobec przygotowań, jakie od szeregu lat czyniły Fracnja i Rosja na lądzie, oraz Anglja — na morzu. Francja, naprzykład, powołała do broni w chwili wybuchu wojny wszystkich swych obywateli i dla wszystkich posiadała zapasy broni, podczas gdy w Niemczech brakowało broni dla 5 miljonów ludzi. Wojna nie doszłaby do skutku, gdyby posłuchano się moich upomnień z przed 1914 r., kiedy nawoływałem do wytężenia wszystkich sił w kierunku zbrojeń".

Podobnie, jak Luedendorff, acz może w mniej mętnej formie rozumuje generał von Seekt, podobnie i każdy poddany tego narodu „przepojony — jak mówi generał Mangin — do głębi duszy najwstrętniejszym duchem militaryzmu i agresywności. Niemcy są najbardziej obłudnym i zdradzieckim narodem, jaki można sobie wyobrazić".

„Z Niemcami — mówił w swoim czasie marszałek Foch — można prowadzić pertraktacje i utrzymywać stosunki, lecz z palcem na cynglu. Z ręką na sercu — zawsze będziemy wyprowadzeni w pole."

Możnaby posądzać Francuzów — zwłaszcza, gdy cytujemy opinje wojskowych — o stronność, którą dyktuje im tradycyjna już nienawiść do Niemców.

Ale i Anglicy, acz byli pierwszymi z pośród byłych kombatantów, którzy usiłowali nawiązać normalne stosunki z Niemcami — Anglicy również wyrażają się o nich niezbyt pochlebnie. Oto kilka cytat z *Daily Grapiec'a*, z *Morning Post'u* i z *Daily Express'u*.

„Rola Eberta i jego kolegów partyjnych polega na tem, aby przykryć prawdziwe intencje Niemców i pod pozorem demokratycznego rozstrzygania sporów — wymóc od mocarstw Ententy najlepsze warunki."

„Nowe Niemcy są jeszcze gorsze od starych. Cały naród czynnie pomagał kaiserowi i każdy z jego żołnierzy pogłębiał na własną rękę zbrodniczą działalność swego wodza.

„Nie może być mowy o żadnych formach zewnętrznych lub ustrojowych. Niemiec nie przestanie nigdy być siewcą niezgody, agresywnym łupieżcą, dla którego nie istnieją ani zasady moralne, ani przepisy prawne."

Krzyżak nigdy nie przestanie być Krzyżakiem.

My chyba wiemy o tem najlepiej, a kiedy mowa o powszechnem rozbrojeniu i o przeróżnych formach paktów i mów gwarancyjnych — możemy odpowiadać argumentami Moltkego i Ludendorffa, do których dodać zawsze możemy dowody rzeczowe o *Grenzwehrach, Grenzschützach, Ortwehrach, Stadtwehrach, Einwohnerwehrach* i wszelkich temu podobnych organizacjach, stworzonych przecież nie dla parady, ale gwoli ciągle nurtującej ideologji krzyżackiej — zaborczej i obojętnej na literę prawa.

Można paktować, gdy się posiada gwarancję uczciwości.

Wszelkie umowy pozostaną czczą frazeologją kiedy się ma do czynienia z kontrahentem nieuczciwym, wykrętnym i bezczelnym.

*) Marszałek Luedendorf jest autorem obszernej pracy, w której usiłuje zdemaskować matactwa międzynarodowe masonów. W dziele tem, które wywołało w swoim czasie nie mało hałasu — autor wypowiada również poglądy antysemickie, których jest gorącym wyznawcą i będąc sam nacjonalistą nie uważa za możliwe uznawać bodajby teoretycznych dążeń nacjonalistycznych u Żydów.

Ze świata



Kolosalna opona reklamowa firmy „Good Year" odbędzie podróż propagandową po miastach amerykańskich.



Trzech śmiałków wyruszyło łódką ratunkową zaopatrzoną w 5-konny motor dookoła lądu amerykańskiego.

Przygotowania przedświąteczne w wielkich magazynach paryskich



Portjer-robot zaprasza klijentów.



Pacyfistyczna artylerja na magazynach Louvre'u.



Dekoracja paryskiej firmy „La Samaritaine" wyobraża latający cyrk.

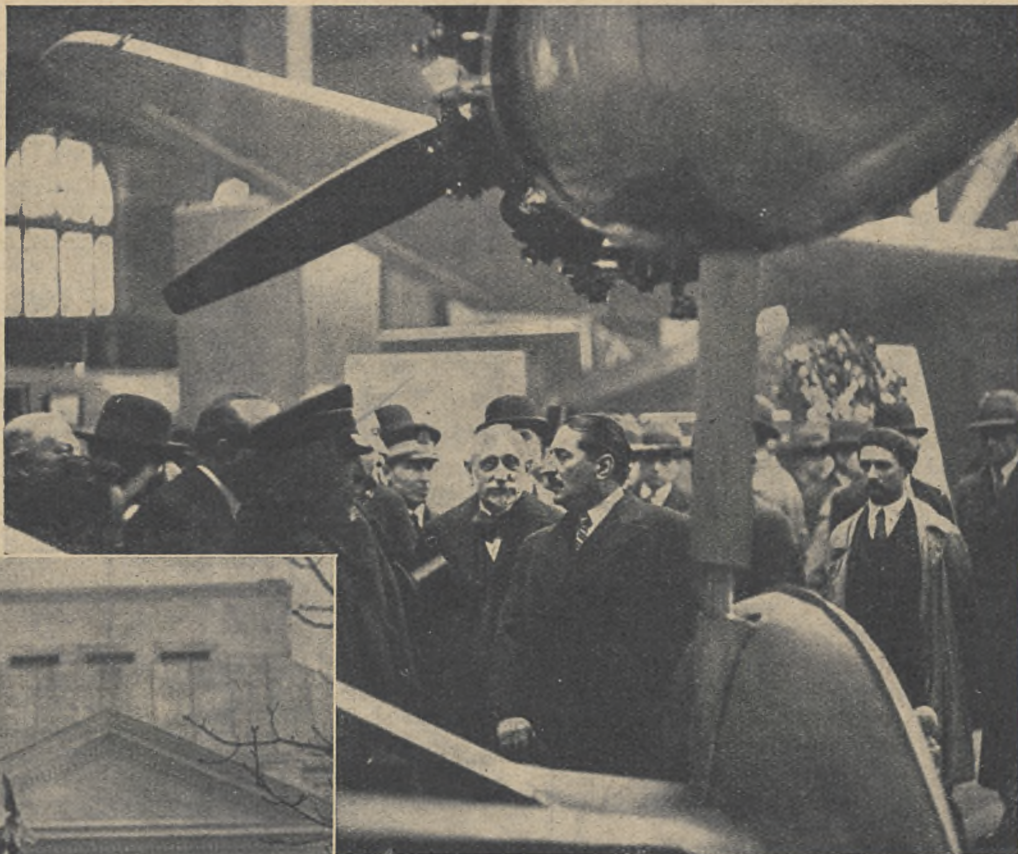


Coś dla zwolenników napojów wyskokowych.

ZE ŚWIATA



W ub. roku pokojowa nagroda im. Nobla przypadła w udziale Frankowi B. Kellogowi. Tegoroczne odznaczenie zostało oddane d-rowi N. Soderblomowi.



W tych dniach została otwarta w Paryżu doroczna wystawa lotnicza. Na fotografji — oficjalni goście przed kolosalnym Dornier'em.



Niezwykle uroczyście obchodzono w całym kraju 100-lecie powstania listopadowego. Szkoła Podchorążych z Zambrowa występowała w mundurach historycznych. (fot. Sitkowski)



Olbrzymie dzieło amerykańskich architektów — przesunięcie buildingu, wagi 11.000 ton, w Indianopolisie, które pociągnęło za sobą koszt 300.000 dolarów.

Podręcznik dla miljarderów

Jest to bardzo ciekawa książka, napisana i wydana, oczywiście, za oceanem, ku nauce i pożytkowi wielce niepraktycznych nababów. Napisał ją również książę dolarów, Juljusz Rosenvald, założyciel i właściciel największego na świecie domu towarowego. Człowiek ten, którego przedsiębiorstwo obliczają na 300 miljonów, doszedł do przekonania, że *łatwiej jest zarobić jeden miljon dolarów, aniżeli coś mądrego wymyśleć*. Do tej „głębokiej" maksymy dały mu asumpt rozliczne fundacje, na które miljonerzy amerykańscy, gwoli miłosierdzia czy też dobroczynności, wyrzucali morze złota.

Ubolewa Rosenvald w swej nadzwyczaj ciekawej, jeżeli chodzi o stosunki amerykańskie, książeczce nad ubóstwem fantazji ludzi, którzy równocześnie sprytem, wytrwałością oraz pomysłowością potrafili zdobyć zawrotne fortuny. Nie nazywa ich wcale nouveauriche'ami, którzyby chcieli rozrzutnym gestem zaskarbić sobie popularność. Wprost przeciwnie. Uważa ich za swojego rodzaju dziwaków, nie wykraczających poza zasięg swojego nosa i nie umiejących krytycznie ocenić swych finansowych wysiłków.

Po bardzo sumiennej i źródłowo przeprowadzonej krytyce obecnych stosunków gospodarczych i ekonomicznych, Rosenvald opisuje cały szereg fundacyj, które nikomu się nie przydały, a które uwięziły ogromne kapitały, nieustannie procentujące — leżące bez jakiegokolwiek pożytku.

Oto pewien wielki fabrykant z Pennsylwanji założył fundację swego imienia, z kapitałem 60 miljonów dolarów, celem wybudowania przytułku i szkoły dla sierot. To się miało nazywać filantropją. Innego zdania o tem jest Rosenvald, który określił to w sposób dosyć lapidarny: „Lepiejby włożył całą sumę do koperty, zaadresował do oddziału przesyłek nieodebranych, w urzędzie pocztowym, a z pewnością byłby zyskał ten sam efekt". W dalszym ciągu dowodzi autor, że najwłaściwszem byłoby wybudowanie przytułku dla dziel, należących do przeszłości. Obecna doktryna socjalna nie idzie w kierunku rozbijania domowego ogniska, a wprost przeciwnie, do jego ochrony, i lepiej wdowie, obarczonej dziećmi, dać pomoc fizyczną— pracę, mogącą dać jej utrzymanie. Rosenvald idzie w swych dowodzeniach dalej, proponując oddawanie sierot, pozbawionych obojga rodziców, bezdzietnym małżeństwom, aby dziecko, wychowując się w cieple rodzinnem, nabywało dodatnich cech społecznych. W innym wypadku, choduje się kadry przyszłych rekrutów więzień i domów poprawczych.

Historja fundacji owego fabrykanta jest o tyle ciekawą, że przytułek, ażeby wykazać się koniecznością swego istnienia, drogą całej kampanji reklamowej, bardzo zresztą kosztownej, wyszukiwał sierot. I co się okazało?... Od 1907 do 1919 roku przytułek wychował zaledwie 114 sierot, jakkolwiek mógł zapełnić swe sale tysiącami dzieci. A tymczasem życie idzie naprzód. Odsetki od kapitału zakładowego wyniosły za ten czas 8 miljonów dolarów, dawniejsza uboga dzielnica miasta, w której wybudowano przytułek, stała się wspaniałą, mieszkalną dzielnicą i chociaż większość jej mieszkańców pochodzi ze sfer robotniczych, nie korzystają oni zupełnie z luksusowej fundacji — sierocińca.

John Edgar Thomson, prezydent wielkiej kolei żelaznej w Pensylwanji, ufundował, kosztem 2 miljonów dolarów, przytułek dla dziewcząt — sierot po zmarłych w tragicznych wypadkach funkcjonarjuszach kolejowych. Bezwątpienia, że fundacja ta powstała na skutek jakiegoś wypadku, którego świadkiem naocznym był sam mister Thomson, i który zapewne ujrzał jakąś osieroconą, płaczącą córkę. Znów się powtórzyła ta sama historja, co z wyżej opisanym fabrykantem. Inseraty w pismach, plakaty na murach domów, radjo i t. p. środki reklamowe zdołały zebrać z wielkim trudem 12 dziewczynek, które stały się w części spadkobiercami źle pojętej filantropji magnata kolejowego.

Najklasyczniejszym przykładem, jaki przytacza w swej książce Rosenvald, jest przykład Byrona Mullanphy. Godny ów starzec, założył w roku 1851, w mieście St. Louis, które w owym czasie było niejako bramą wypadową dla poszukiwaczy złota, udających się do Kalifornji, olbrzymi dom, niejako azyl dla tych, których w drodze spotkał zawód. Pełna nazwa tego szczególnego domu była: *„Fundacja dla podróżnych, którzy, w drodze na daleki zachód, zmuszeni byli osiąść na mieliźnie, w St. Louis"*. Fundator, w klauzuli, obowiązującej przy przyjmowaniu „osiadłych na mieliźnie", wymienia między innemi punkt następujący: *„ci, którym w podróży padły woły, anie mają dość kapitału, by kupić świeże..."*. Punkt ten jest dzisiaj anachronizmem, gdyż potomkowie pionierów, którzy całemi miesiącami wlekli się zaprzęgami wołowemi do krainy, kuszącej złotem, dzisiaj przebywają ją w kilkanaście godzin samolotem.

Formy życia się zmieniły, dawne pojęcia zastąpiono nowemi, twarde prawo ewolucji obowiązuje wszystkich... za wyjątkiem legatu starego Mullanphy, który procentuje nieustannie i stoi otworem dla tych, „których woły padły w drodze". I nikt na to nic poradzić nie może. Surowe ustawodawstwo Stanów Zjednoczonych nie pozwala użyć kapitałów, przeznaczonych na jakiś cel dobroczynny, na coś innego. Miljony Mullanphy'ego będą rosły nieustannie, zawalały bezprodukcyjnie skarbce bankowe, dom dla „osiadłych na mieliźnie" będzie podlegał nieustannym reparacjom, będą w nim czynione nowe inwestycje, zgodne z duchem czasu i wymogom współczesnych ludzi, ale... nikt w nim nie będzie mieszkał.

A jak nazwać znów człowieka, który zapisał miejskiemu szpitalowi stutysięczny majątek, z tem, że wolno tylko wtedy z niego czerpać, o ile obiad ma składać się z pieczeni cielęcej?... Czyż nie jest on sam podobny do cielęcej głowy?... I nasuwa się pytanie, dlaczego akurat wybrał pieczeń cielęcą, a nie pomarańcze, które są przecież zdrowsze dla rekonwalescentów od mięsa.

W zakończeniu swego podręcznika, Rosenvald wyraża konkluzję, która prowadzi do tego, ażeby każda fundacja, na cel dobroczynny, nie zależała od martwego testamentu, lecz była elastczną, to znaczy dostosowywała się do potrzeb tak życia, jak i ludzi. Fundacja winna służyć nie tylko jednemu pokoleniu, ale i temu za lat 100 czy 300. Tymczasem, obecna krótkowzroczna dobroczynność znudzonych miljonerów amerykańskich, uwięziła na zawsze niepotrzebne sumy, których podnieść ani zużyć, ku pożytkowi ogółu, nie można.

Premje dla nowych prenumeratorów „7 DNI"

Każdy nowy prenumerator „7 Dni", który zaprenumeruje nasz tygodnik od dnia 1 stycznia 1931 roku, otrzyma premję w postaci książki. Spis książek będzie podany w jednym z najbliższych numerów.

REDAKCJA.

W KRAJU Z 1001 NOCY...

Zaczyna się jak w bajce.

Był sobie potężny król, który podbił olbrzymią krainę, zamieszkałą przez setki miljonów biednych ludzi ipięciuset sześćdziesięciu książąt — kacyków, opływających w niesłychane bogactwa.

Lud cierpiał nędzę, kacykowie nagromadzali coraz większe bogactwa, a potężny król ściągał z kraju olbrzymie daniny.

Błogi ten stan rzeczy nazwano *pax britannica*.

Aż wreszcie, po wielu latach, pojawił się człowiek, który ośmielił się stanąć w obronie ciemiężonego i ciemnego ludu.

A jako, że nie rozporządzał hufcami zbrojnemi, z łatwością pojmano go i osadzono w więzieniu. Głos jego atoli tak głęboko wstrząsnął wszystkich, iż cały lud, jak jeden mąż, stanął za nim, a strwożeni kacykowie wraz z przemożnym swym królem i władcą zasiedli za *okrągłym stołem* i jęli radzić nad losami kraju...

Dalszy ciąg tego opowiadania wkracza już wyraźnie w dziedzinę rzeczywistości i czytelnik domyśla się, iż chodzi o Indje — zawiedziemy Go więc do tego zaczarowanego kraju i opowiemy, jak to tam jest z owymi kacykami.

*

Indje są rządzone przez 560-ciu książąt, z których 119-tu zajmuje wyższe stanowiska. Utarło się mylne mniemanie, iż wszyscy noszą tytuł *maharadżów*. Najmożniejsi z nich nazywają się *maharanami* lub *nyzamami;* wyznający wiarę Mahometa noszą tytuł *gaekwarów* lub *nawabów*. Mniej możni nazywają się *radżami*, a wreszcie szlachta, osiadła na olbrzymich latifundjach i rządząca się na nich według archaicznych praw feudalnych — nosi tytuły *zamindarów, thakurów* i *żażinderów*, zależnie od kasty, do której przynależą.

Nie wszyscy ci kacykowie wywodzą się ze szlachty. Oto władca jednego z największych państewek — Gwalioru (zgórą 3 miljony ludności) jest potomkiem wieśniaka, a święty *braman*, żebrzący pod bramą jego wspaniałego pałacu, odwraca się z pogardą, gdy ujrzy *maharadżę*. To samo da się powiedzieć o władcach Indoru, Hyde rabaru i Barody.

Najciekawszem jest bodaj pochodzenie maharadży Barody, gdyż wyniesiono go na tak wysokie dostojeństwo z ubogiej chatyny wieśniaczej. Oto bowiem poprzedni maharadża, czując urazę do rezydenta angielskiego, otruł go, za co został stracony, a że nie pozostawił legalnego potomstwa — wdowa musiała adoptować byle kogo i wybór jej padł na synka ubogich wieśniaków. Książę ten nie cieszył się zbytnią popularnością wśród innych kacyków. Jeśli liczą się z nim, to tylko dzięki jego olbrzymiej fortunie. Dość powiedzieć, że książę posiada *pomiędzy innemi* kolję z siedmiu rzędów pereł miljonowej wartości, legendarną wprost tjarę o pięcuset



Maharadża Indoru, ożeniony z Amerykanką, stale zamieszkuje pod Paryżem.



Książęta z krainy z tysiąca i jednej nocy na przyjęciu u premjera angiejskiego.

niezwykłej wielkości djamentach, szmaragdach i rubinach, oraz słynną „Gwiazdę Południa", większą od jednego z najdroższych kamieni na świecie — Koh-i-nooru, którym się szczyci królewski skarbiec angielski.

Książę ten należy do najbardziej oświeconych władców Indji i wsławił się dzięki licytacji, którą zarządził, sprzedając część swoich skarbów, celem ufundowania wyższej uczelni.

Nie mniejsze zasługi poniósł dla kraju Nawab z Palanpuru. Książę ten, w przeciwieństwie do wielu władców Indji, nie wychował się w Anglji, rzadko bywa na Zachodzie i wykształcenie swe zawdzięcza wybitnym zdolnościom osobistym oraz wytrwałej pracy. Niechętnem okiem patrzą na niego kacykowie indyjscy, gdyż nawab nie lubi przestrzegać tradycyj, związanych z religją i sposobami rządzenia się w swym kraju. Poddani mają łatwy dostęp do niego, i sam zresztą często przebywa wśród nich, czynnie zajmując się podniesieniem stanu gospodarczego księstwa. Nie tai przed nikim swych poglądów i pragnąłby radykalnych reform, któreby podźwignęły cały kraj ze stanu zacofania.

Bo istotnie w tym kraju kontrastów nic się nie zmieniło od setek lat.

Oto weźmy naprzykład pałac książęcy w Udaipurze. Gmach ten, wznoszący się nad sztucznem jeziorem, długości 5 klm., zawiera 2000 komnat. W 30 metrów długiej sali tronowej nagromadzono bezcenne bogactwa Setki słoni i tysiące koni, w stajniach, olbrzymie ogrody dziesiątek tysięcy służby domowej — czego tam niema w tym pałacu z tysiąca i jednej nocy, należącym do sędziwego starca, Sir Fateh-Sina-Bahadur (urodzony w roku 1849).

A nieopodal, w dolinie, są wioski ludu, w których często grasują epidemje, a bieda dokucza co dnia...

Staruszek świeci przykładem innym władcom Indji, przestrzegając z całą ścisłością wszelkie przepisy, przekazane wiekową tradycją. A oto inny weźmy, naprzykład maharadża z Jodpuru. Człowiek ten, wychowany w Oxfordzie, skąd wyniósł masę upodobań zachodnich, z których największą pasją jest automobilizm (posiada „na stajni" 200 maszyn), odznaczył się tem, iż, wyjeżdżając niedawno do Anglji, wynajął połowę statku, którą przeznaczono na *Zenana* (zamknięta część pałacu w rodzaju haremów) i polecił wysypać apartamenty swoje ziemią indyjską, gdyż nie mógłby inaczej odprawiać codziennych modłów; kąpał się w wodzie z Gangesu — słowem starał się zachować wszystkie obyczaje i rytuały, naka-

zane przez tradycję. Podobno podróż kosztuje bagatelę — do 100 tysięcy funtów, lecz dla nich jest drobnym wydatkiem.

O nie mniej ortodoksyjnym maharadży z Bikaneru kursuje następująca, wielce charakterystyczna anegdota:

Rzecz odbywa się w Londynie, w Pałacu Królewskim. Kilku książąt gości tego dnia u króla, wobec czego każdy z nich przywdział najbogatszy strój. Gdy pewna dama, siedząca obok maharadży z Bikaneru, nie mogła się powstrzymać od dotknięcia palcem wspaniałego pierścienia, ten zwrócił się do stojącego za nim sługi i wyciągnąwszy doń rękę, rzucił rozkaz: „umyj...", poczem w dalszym ciągu podtrzymywał wytworną rozmowę z towarzyszką.

Podobnych dziwactw moglibyśmy zacytować bez liku. Na nich oparta jest wiekowa tradycja kraju maharadżów. Czy długo jeszcze zdoła się ona utrzymać, okażą najbliższe lata...

— — — — — — — — — — — — — —

Za okrągłym stołem w Londynie zasiedli książęta i radzą, a z więzienia rozlega się głos pobożnego Gandhi'ego po całym kraju...

Największa organizacja wywiadowcza na świecie

Nie jest to słynna angielska Intelligence Service, na którą rząd brytyjski wydaje około 50 miljonów rocznie.

Mowa tu będzie natomiast o wywiadzie ,prowadzonym przez amerykańskie towarzystwo ubezpieczeniowe. Oto bowiem okazuje się, iż zgórą trzy miljony osób zajmuje się zbieraniem ścisłych i bardzo poufnych informacyj o kandydatach na ubezpieczonych Jeżeli zaś zauważymy, że na obszarze Stanów Zjednoczonych istnieje około 1.100 towarzystw ubezpieczeniowych, wypada na każde około 3.000 wywiadowców, którzy przedewszystkiem mają za zadanie zbadać właściwości moralne kandydatów do ubezpieczenia.

System ten powstał dość dawno, czterdzieści lat temu, gdy urzędnicy towarzystw ubezpieczeniowych zaczęli studjować zawartość archiwów i doszli do przekonania, że istnieje *ścisła zależność między wartością moralną, charakterem człowieka i jego trybem życia, a momentem śmierci.* Zależność ta polega na tem, że jednostki o słabym charakterze, a tem samem łatwiej odstępujące od ogólnych zasad moralnego postępowania, umierają szybciej. Ubezpieczenie takich jednostek o wiele mniej opłaca się przeto dyrektorom towarzystw, aniżeli ubezpieczenie osobnika przyzwoitego i statecznego. Kierownicy instytucyj ubezpieczeniowych doszli w ten sposób do przekonania, że należy bronić swych pieczołowicie gromadzonych dolarów drogą poznania, przed ubezpieczeniem, trwałości zasad moralnych ubezpieczonego.

Potrzeba takiego systemu postępowania wyjaśni się lepiej, gdy stwierdzimy, że w Stanach Zjednoczonych jest przeszło 150 osób, ubezpieczonych na sumę od 1 miljona dolarów wzwyż. Śmierć takiego „drogiego" człowieka poważnie nadszarpuje zyski prywatnych przedsiębiorców ubezpieczeniowych.

Wywiadowcy dzielą się na dwie kategorje: inspektorów i korespondentów. Inspektorzy, otrzymujący bardzo wysokie honorarja, są to ludzie, odbywający długie studja natury ludzkiej, ucząc się w codziennej praktyce jak najbardziej ocenić zgłaszającego się kandydata, z punktu widzenia korzyści przedsiębiorstwa. Oni kierują działalnością korespondentów, którzy są wynagradzani za poszczególne sprawozdania, dotyczące poleconych im do śledzenia osób.

Takie naprzykład Nowojorskie Towarzystwo Ubezpieczeń zatrudnia 36 inspektorów i 110.000 korespondentów. Inne znów towarzystwo ma na swych usługach przeszło 40 inspektorów i conajmniej po 2 korespondentów w każdem mieście Stanów Zjednoczonych. W każdem wielkiem mieście liczy takich korespondentów na setki i tysiące. Istnieje też cały szereg przedsiębiorstw wywiadowczych, zatrudniających bataljony szpiegów, udzielających żądanych informacji kilku lub kilkunastu naraz mniejszym towarzystwom ubezpieczeniowym.

Raporty, składane przez wydział wywiadowczy są pilnie strzeżone, aby zawarte w nich spostrzeżenia nie przedostały się nazewnątrz: za złamanie tajemnicy grozi 2 lata więzienia. Jest to zupełnie zrozumiałe, albowiem ujawnienie mogłoby niejedną szanowaną i rzekomo nieposzlakowaną wielkość zupełnie skompromitować.

Werbunek wywiadowców odbywa się przeważnie w kołach niezależnej inteligencji, która wskutek piastowanego urzędu lub pozycji społecznej najmniej daje powodów do podejrzeń. Są więc między nimi adwokaci, duchowni, urzędnicy, kamienicznicy i t. p. Muszą mieć jednak szerokie koła stosunków i znajomości. Wszystko to jest otoczone najgłębszą tajemnicą, naturalnie i wywiadowcy między sobą również się nie znają.

Towarzystwa z reguły nie przyjmują ubezpieczeń osób, które uważa się za zdolne do popełnienia kradzieży, zabójstw lub... zdrady małżeńskiej.

Kobiety naogół podlegają bardziej skrupulatnemu śledzeniu, niż mężczyźni. Są bowiem zawsze „niepewne". Niedawno jedna z najgłośniejszych artystek Nowego Świata, które kontrakt wymagał absolutnie nienagannego prowadzenia się, musiała zgodzić się na zmniejszenie sumy ubezpieczeniowej, gdyż wyśledzono, że w tajemnicy przed światem utrzymuje stosunek miłosny.

WŁODZIMIER POPŁAWSKI.

RYWALE

MARYLECZCE.

Wreszcie bomba pękła.

Spodziewał się tego, ale nie przypuszczał, aby nastąpiło tak szybko i nagle. Marty nie było w domu. Poszła z dzieciakami do kina.

Dzwonek. Krótki a ostry. Tak zwykle dzwonią policjanci i roznosiciele depesz.

Zapiął pyjamę i nie ocierając nawet twarzy z mydlanej pianki, uchylił drzwi.

Stał tam — wysoki, rozrośnięty. Obfity, futrzany kołnierz. Stateczny „melonik", a pod rondem twarz mocna, twardo sklepiona i bystre, biegające źrenice.

— Redaktor Hubik?

Stefan kiwnął głową.

Gość zajął całą szerokość drzwi i—wszedł do małego przedpokoju.

Dwie szafy, wilgocią stoczone kufry, na nich brzuchate kosze, jakiś stolik, wieszak, stos gazet. Graciarnia.

— Nazywam się Stolhoff, — powiedział, zdejmując kapelusz.

Po krzyżach prześlizgnął się chłodny powiew. — Będzie awantura — przemknęło przez mózg gospodarza.

A jednocześnie coś, jakby — wstyd... Trudno rozmawiać w tej rupieciarni, a znów w pokoju — łóżka, szafy, szafy, łóżka. W kuchni— Marta poszła do kina, wszystkie statki leżą niezmyte.

Ba...

— Niech pan pozwoli — otworzył drzwi do pokoju, który stanowił dla całej rodziny i jadalnię, i sypialnię, i salon, i pokój dziecięcy, i wreszcie „gabinet" jego pracy.

Stolhoff wszedł. Musnął wzrokiem nieposłane łóżka, zawalone papierzyskami biurko, „pałac" dzieciaków, stół zamieniony w przedziwną wieżę babel najprzeróżniejszych przedmiotów.

Stefan podsunął krzesełko. Nie usiadł. Stał wyprostowany, z dłońmi, opartemi o blat stołu. Wysoki, szczupły, a barczysty, o mocno brzydkiej twarzy i srebrnych skroniach.

— Czem mogę służyć? — spytał z głupia frant dziennikarz, z trudem powstrzymując drżenie głosu.

— Więc to pan jest Stefan Hubik?...— oczy Stolhoffa pobiegły od nastroszonej, zmierzwionej czupryny, przez mydłem wybieloną chudą twarz, wąską, zapadniętą klatkę piersiową, okrytą futerałem wyblakłej, przybrudzonej pyjamy, aż do stóp, schowanych w przydeptanych, kraciastych pantoflach. — Pan redaktor Stefan Hubik... feljetonista...

W głosie Stolhoffa tułało się coś, jakgdyby ironja. Twarz była jednak spokojna, opanowana. Oczy patrzały chłodno.

I nagle:

— Niech mi pan powie, gdzie moja żona miała oczy, wybierając właśnie pana na kochanka?

Hubik zamrugał nerwowo czerwonemi powiekami.

— Czy pan mnie chce...

— Nie, nie chcę pana obrażać, — przerwał Stolhoff. — Tylko niech pan sam spojrzy w lustro... Pan — kochankiem Reny...

Powieki trzęsły się nerwowo, dłoń szarpała kieszeń pyjamy. Stefan czuł, że coś jest nie w porządku. Djabli wiedzą, gdzie podział się cały tupet, cała dziennikarska swada i bezczelność, pozwalająca klepać choćby kardynałów po ramieniu.

Spokój, opanowanie, równowaga...

— Więc panby chciał...

Stolhoff kiwnął głową i zaproponował:

— ....Tylko tu będzie nam niewygodnie mówić. Może wyjdziemy?

Stefan omal nie ucałował go z radości. Bałagan w mieszkaniu był straszny. Lada chwila mogła wrócić Marta. Komplikacje. Zresztą, na świeżem powietrzu lepiej...

Czemprędzej starł mydło z twarzy, przyczesał włosy i trzęsącemi się z emocji palcami wiązał naddarty krawat.

Strach powoli rozpływał się. Spokój tego wielkiego, eleganckiego mężczyzny działał dziwnie sugestywnie. Ba, zaczęło się nawet budzić coś w rodzaju dumy czy zadowolenia, że właśnie do niego przyszedł ten znany, bogaty przemysłowiec, mąż tej samej kobiety która była jednocześnie kochanką skromnego, ponoć utalentowanego feljetonisty...

Na dworze stał się pierwszy, wilgotny śnieg. Przed bramą — długa, niska, lśniąca limuzina.

— Czy pojedziemy, czy woli pan przejść się?

Stefan uczuł, jak rozkosznie zapada się w miękkie poduszki, motor rusza i eleganckie pudło, niby czarodziejski dywan, mknie bezszelestnie ulicami wielkiego masta.

Ale nie... Woli się przejść.

Śnieg padał cicho, okrywając wszystko białawą powłoką. Pełgały nieliczne gazowe latarnie. Ceglasto uśmiechały się zapocone okna odrapanych kamienic czy małych, przedziwnie pokurczonych drewniaków.

— Kiedym szedł tu — mówił jakgdyby do siebie Stolhoff — spodziewałem się, że trafię na jakiegoś aroganckiego, rozzuchwalonego młokosa, którego będę musiał uspakajać ręką, ale pan... Czy pan chorował?

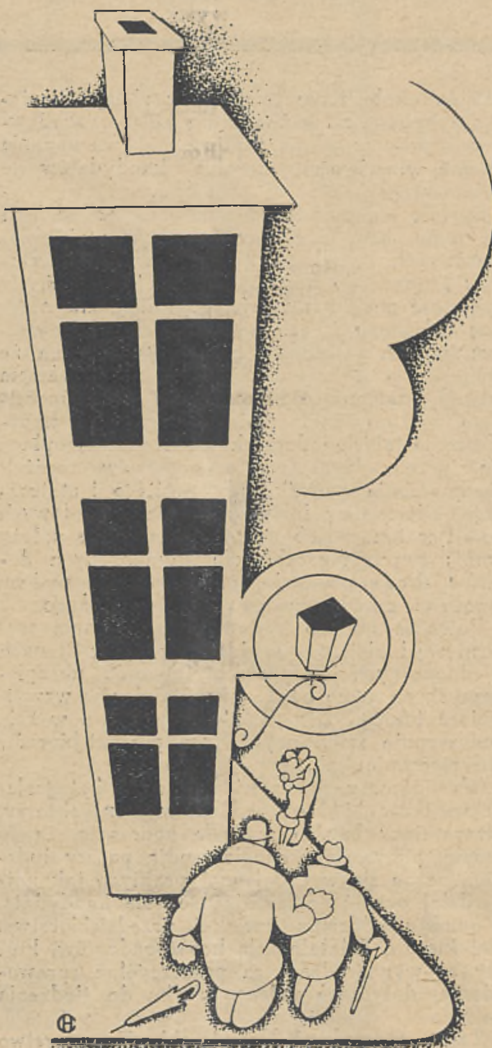
To już była wyraźna ironja, chociaż głos w dalszym ciągu brzmiał równo i spokojnie.

Stefan chciał odciąć się, ale mężczyzna mówił dalej:

— Lubię chodzić na amerykańskie filmy, gdzie on jest jakimś magnatem, a ona biedną ale uroczą girl. Mnóstwo tarapatów, mnóstwo przeciwności, lecz — miłość wszystko przezwycięża i — pobierają się. Ja, coprawda, nigdy nie byłem magnatem, stałem wtedy na czele sporego koncernu fabrycznego, ona także nie była girl, ale była młoda, ładna i bardzo biedna. Przeszkód specjalnych nie spotkaliśmy, więc — pobraliśmy się. Pan, jako człowiek inteligentny, człowiek pióra, wie chyba, że jeśli mężczyzna trafi na swój typ kobiety, gotów jest dla jej przyjemności Mont Blanc nosić na barkach. Rena miała wszystko, czego chciała. Nie dostatek, nie bogactwo, ale — przepych. Kochałem ją. Bardziej chyba nikt nie potrafi kochać. Byliśmy, jak to powiadają, idealną parą małżeńską...

Przystanął, zdjął kapelusz, otarł czoło i szedł dalej, długim, miłowym krokiem. Stefan dreptał obok niego.

— Gdy mi pierwszy raz otarła się o uszy



wiadomość o jej zdradzie — śmiałem się długo. Śmialiśmy się wtedy razem z tej „plotki, puszczonej przez zawistnych ludzi". Niestety— okazało się, że plotka ma ręce i nogi. Dowiedziałem się o wszystkiem. Z najdrobniejszemi szczegółami. Rena, oczywiście, do niczego nie przyznaje się...

Nad miastem niebo rumieniło się łuną świateł.

— I, panie — żeby tym kochankiem był jakiś nadzwyczajny okaz męskiej urody, jakiś słynny gwiazdor filmowy, czy bokser, czy błyszczący oficerek od ułanów. Jakiś znakomity śpiewak lub pianista, za którym wszechświatowa sława snuje się jak nieodstępny cień, no, wreszcie — krezus, nabab, przy którym ja byłbym omal nędzarzem... zrozumiałbym. Ale tak...

Hubik czuł, jak spokój w nim rośnie coraz bardziej, jak krzepnie, tęże je, umysł zaczyna pracować jasno, błyskawicznie. Tu nie było poco zapierać się, wykręcać. Ten człowiek wiedział wszystko.

— Przecież jeśli ta kobieta ode mnie odejdzie — skończyłem się. Ja, panie, bez niej nie potrafię już nic zrobić, zatracę zupełnie możność egzystencji... Przyszedłem do pana nie grozić, a prosić...

Głos załamał się. Hubik stanął i zdumionym wzrokiem patrzał na mówiącego.

— Tak, panie. Przychodzę p r o s i ć, żeby mi pan nie odbierał tej kobiety, która jest jedynym celem mego życia. Jedynym moim dopingiem... I żebym chociaż wiedział, dlaczego ona to wszystko robi, dlaczego własnowolnie odchodzi od dobrobytu, od kochającego człowieka...

Stefan uczuł broń w ręku. Teraz on był górą.

— A widzi pan... My, mężczyźni, zupełnie nieznamy kobiet. Większości z nas zdaje się, że dla kobiety wystarczy piękna suknia, luksusowy apartament, służba, automobile, podróże zagranicę...

— A pan jest zdania, że chociażby w „małej chatce, byle z nim"...

— Nie, drogi panie. Ja tylko pamiętam o duszy kobiecej. Cóż pan dawał duszy swojej żony?

Stolhoff stropił się.

— Jakto? Przecież kochałem ją...

Dziennikarz uśmiechnął się ironicznie.

— I to wszystko, nie licząc, oczywiście, pięknych sukien, pysznych mebli, bezcennej biżuterji i luksusowych samochodów... O, jacyż przyziemni są mężczyźni... Przecież panie, kobieta to istota nawskroś subtelna, to prawie cieplarniany kwiat, któremu nie wystarczą kryształowe szyby i piękne sztachetki wokół doniczki, jej trzeba słońca, poezji... Trzeba jej wyobraźnię rozpalić czarem prawdziwej sztuki, wielkiego talentu, pokazać jej, że świat nie składa się ze strojów, samochodów, biżuterji, plotek i beznadziejnie nudnego szerokiego łoża przykładnych małżonków, w którem pan i władca, z głową jeszcze niezbyt wywietrzoną po cedułach giełdowych i weklowych protestach, będzie pieścił żonę niczem młody słoń...

— Człowieku, co pan opowiada? Gdzież ja, przemysłowiec, który przedewszystkiem musi trzymać rękę na pulsie interesów, który musi śledzić za konjunkturą, miałbym czas na podobne brednie...

— A widzi pan. Więc dlatego, że pan niema czasu i nie potrafi, to chciałby pan aby kobieta wyrzekła się tego, co dla niej jest równie drogie, jak woda dla ryby, a powietrze dla ptaka. Jeśli pan jej tego nie może dać, szuka duchowego pokarmu gdzieindziej. I tu jest właśnie rozwiązanie dręczącego pana pytania. Nie bokser, nie ozdobny oficerek od ułanów, nie krezus czy durny tenor, a skromny, ale duchowo po królewsku bogaty poeta da jej właśnie to, czego szuka.

— Ale pan przecież jest dziennikarzem...

— Co tam pan wie... Życie jest twardsze od marzeń i życie zmusiło do dziennikarskiej orki, do pisania feljetonów, arykułów i tym podobnych bzdur. A jednak — byłem, jestem i będę poetą. Pan pewno nawet nie wie, że to właśnie ja napisałem tom poezji pod tytułem: „Sepjowy zmrok"...

— Istotnie, nic nie wiedziałem.

— Ba, pan niema czasu na podobne „bzdurstwa". Pan conajwyżej jadąc expressem Warszawa — Berlin, kupi tomik Pitigrilli'ego, aby przeczytać kilka kartek przy stole, w wagonie restauracyjnym...

Wydostali się w gwar wielkomiejski. Szerokiemi rzekami asfaltowych jezdni płynęły długie tratwy zmokłych samochodów, gderliwie podzwaniały jarzące czerwone pudła tramwajowych wozów, rozpaczliwie ślizgały się biedne, dorożkarskie szkapy, a po ścianach, po dachach uwieszone gdzieś, jakgdyby w czarnym niebycie, jaśniały, migotały, goniły się w syzyfowej wędrówce stubarwne ognie reklam.

Przechodzili obok jaskrawo oświetlonych szyb modnego dancingu.

— Wstąpmy na chwilę — zaproponował Stolhoff.

Hubik nie oponował.

Otulił ich ciepły, przymilny gwar. Dużo świateł, złotego szychu, szkła. Białe obrusy. Ładnie malowane kobiety. Męskie twarze wszelkiego kalibru. Vortancerki. Kelnerzy, usłużniejsi od faraonowych niewolników.

Jazz...

...„*Piłem, kto mówi, że nie piłem,*
Butelkę wytrąbiłem..."

Soda-whisky.

Stefan przypomniał sobie, że właściwie nic jeszcze nie jadł. Wrócił z redakcji nad ranem. Spał, a kiedy się obudził i przed jedzeniem zabrał, jak zwykle, do golenia — przyszedł ten. Nie wypadało przyznawać się.

Wypili drugi, trzeci, czwarty...

— Pieniądz i mięśnie — to dużo, panie, — perorował Hubik, — ale to nie wszystko. Grunt — dusza. Kobieta szuka duszy i dlatego żona pańska przyszła do mnie.

Po twarzy przemysłowca snuł się jakiś ledwie dostrzegalny uśmieszek.

I znów pili, Coblery, flipsy, gin... Wzrok mętniał. Wszystko otulało się wstydliwie jakąś cieniuteńką mgiełką. Jazz trzaskał synkopami, to znów pieścił czarownemi melodjami naddunajskich walczyków czy węgierskich czardaszów.

— Niech mnie pan zrozumie, redaktorze. Ja Renę bardzo kocham, ale najważniejsze jest to, że ja sobie nie wyobrażam bez niej swoich interesów. Pan nawet nie ma pojęcia, co to za skarb ta kobieta, jak ona potrafiła wszystko cudownie załatwić. Najbardziej skomplikowane tranzakcje, co do których nie miałem już prawie żadnej nadziei, brała na siebie i — wygrywała. Pan przecież zna takie stare polskie przysłowie „gdzie djabeł nie może, tam babę pośle", a w moich interesach często jest tak, że trzeba dostać się to tu, to tam. To z tym człowiekiem pogadać, to z tamtym. Ona jest pod tym względem niezastąpiona, więc pan rozumie? Jeśli ona odejdzie ode mnie, ja... ja chyba... ja.. nie wiem co zrobię...

Słowa były dziwne, elastyczne, jak z gumy, podskakiwały do samych uszu, to znów opadały gdzieś w bezdenną przepaść. Stefan słuchał i — nic nie rozumiał. Kocha, ubóstwia, żyć nie potrafi, tranzakcje, interesy, dolary, „gdzie djabeł nie może...", cały, długi szuur dolarów, a tuż, tuż klęczy Stolhoff i modli się:

— Zwróć mi Renę... Zwróć mi Renę...

W kryształowym, płaskim kieliszku — Morze Czerwone. Port Said, białe domki, plamy smukłe i brunatno-skóre arabki o krągłych, stromych piersiach...

— Proszę pana, redaktorze, jak mężczyzna — mężczyźnie: oddaj mi Renę, ja bez niej nic, pyłek, proch marny... — gdzieś tam podskakują kauczukowe słowa. Jak też zmieniła się twarz tego Stolhoffa. Zupełnie angielski buldog. Takie same obwisające wargi, przekrwawione ślepia.

Zwróć ją. Nie—tranzakcje. Ale zawsze mąż. Ba, MĄŻ...

I Stefan — mąż. W domu czeka Marta. Będzie znów narzekać na fluksję.

— Tomek, Halszka, Jasio...

Ajencja Steffani donosi z Buenos Aires: wczoraj, w Meida, środkowa Wenezuela, pożar zniszczył jedenaście cystern naftowych. Straty sięgają kilku miljonów dolarów... Nowe zbrodnie szaulisów... Czekam na Ciebie...

Minuta, płynie za minutą, dziwnie ospale i leniwie. Na wielkim kominku drgają złociste iskierki konającego ogniska. Za lodowatą taflą szyby, miljonowe miasto gra przepotężny hymn życia.

Czekam, przyjdź... Pieścić będę złoty błysk Twych źrenic ogromnych, Twe wargi słodkie i pełne...

— Co pan gada?

Gdzieś, z bardzo daleka — Stolhoff...

— To z mego „Sepjowego zmroku". Rena to najbardziej lubiała... ale już teraz nie... oddaję panu, niechtam... Pan ją tak bardzo kocha... a może tylko jej zdolność załatwiania interesów. a ja... ja nie mam interesów, mam zato żonę, dzieci, codzienny feljeton i codzienne protesty wekslowe...

— A może wolno służyć panu jakąś pożyczką?...

Słowa przecisnęły się jak ryk syreny w mglistą, jesienną noc. Hubik wstrząsnął głową i spojrzał tamtemu w oczy.

— Nie, kochający mężu... NIE.

Znów pili. Całowali się. Pili. Wyszli.

Było widno. Na ulicach przeciągał się siny z zimna świt. Cieniutki nalot dziewiczego śniegu.

Stanęli na rogu.

Dyrektor długo zapalał grube cygaro. Hubik, z dłońmi w kieszeniach, bezmyślnie przyglądał się śladom stóp na śniegu.

W ciszy porannej, za ich plecami pękł zgrzyt otwierania bramy. Hubik zerknął leniwie.

Z pobliskiego domu — wysoki, szczupły, przesadnie szeroki w ramionach mężczyzna, a tuż za nim — smukła sylwetka, w dobrze znanem futrze kreciem.

Stolhoff aż pochylił się naprzód. Zasłaniał ich kiosk z gazetami.

— To vordanser z Carillonu, — szepnął jakgdyby do siebie.

Mężczyzna kiwnął na przejeżdżającą taksówkę. Odjechali...

Po wąskich wargach dziennikarza przesunął się ironiczny uśmieszek, spojrzał na zegarek:

— Psiakrew, straciłem dzisiaj feljeton i...

— Wiarę w pokarm duchowy kobiet, — przyciął przemysłowiec.

Rozeszli się bez pożegnania.

DR. MED. JERZY SZPAKOWSKI.

Księżyc i ludzie

Postać lunatyka, tchnąca czemś niezwykłem, niesamowitem, już niejednokrotnie służyła za temat dla poetów, malarzy a nawet muzyków. Wystarczy wspomnieć Shakespeare'a i jego Lady Mackbeth, lub Belliniego, którego opera „La Somnambula" była jedną z najbardziej wziętych i popularnych w zeszłem stuleciu.

Nauka wszelako coraz rzadziej zaczyna używać terminu „lunatyzm", ponieważ przekonano się, że tylko w rzadkich wypadkach chodzenie we śnie ma związek z księżycem. O wiele częściej używa się obecnie terminów: noktambulizm albo somnambulizm — sennowłóctwo.

Opisano naogół dużo wypadków tego rodzaju. Sprawiają one dziwne wrażenie. Człowiek wstaje podczas snu, pozornie obudzony, chodzi, wykonywa różne czynności, może nawet oddawać się pracy umysłowej. Następnie kładzie się z powrotem, śpi, a na drugi dzień o niczem nie wie. Czasem tylko zdarza się wspomnienie o jakimś śnie, którego treść odpowiada temu, co somnambulik dokonał w rzeczywistości.

Lunatyk może wykonywać we śnie najrozmaitsze czynności. Zakres ich jest bardzo duży—od najprostszych do najbardziej skomplikowanych. Najczęściej bywają one związane z jego zawodem, lub jakiemiś myślami utajonemi. To samo można powiedzieć o pracy umysłowej. Najciekawsze są jednak wypadki, w których somnambulicy wykazywali jakieś nadzwyczajne uzdolnienia, względnie niezwykłą wiedzę. Do tej kategorji zaliczamy: rozwiązywanie trudnych zagadniej lub zadań, które przez dłuższy czas nie dawały spokoju, łatwe posługiwanie się mało znanymi obcymi językami, recytowanie z pamięci całych ustępów z dzieł dawno czytanych i zapomnianych, zadziwiającą pamięć różnych faktów, wreszcie przejawy twórczości.

Zdarzają się czasem wypadki wyjątkowego zaostrzenia niektórych zmysłów, przy jednoczesnem przytępieniu innych. Ciekawy przykład tego rodzaju przytacza Encontre. Czternastoletni chłopiec, w stanach lunatycznych tracił zupełnie słuch i mowę. Natomiast wrażenie węchowe i wzrokowe odbierał ze zdumiewającą wprost precyzją. Odróżniał za pomocą powonienia przedmioty, które zdawałoby się nie miały żadnego zapachu. W zupełnej ciemności orjentował się doskonale i mógł z łatwością czytać i pisać. Gdy wspomniany autor położył przed nim, w ciemnym pokoju kawałek papieru i po omacku napisał na nim pytanie, chłopiec popatrzył na pismo, kilkakrotnie przesunął po niem ręką, wziął ołówek i odpisał.

Niezawsze jednak czyny lunatyków mają cechy korzyści lub celowości. Pewien rybak, jak podaje Korsakow, w czasie napadów somnambulicznych, stale wypuszczał ryby z własnego stawu. Ponieważ był przekonany na jawie, że jakiś złodziej okradł go, ustawił pułapkę. Oczywiście pierwszej nocy trafił w nią sam.

W tym stanie wreszcie, człowiek jest zdolny popełnić nawet zbrodnię. Szokalski wspomina np. o lunatyku, który zranił swą żonę, ponieważ miał sen, że była mu niewierna. Bardzo ciekawy fakt podał również Brillat Savarin. W jednym z klasztorów przebywał zakonnik, o którym wiedziano, że był lunatykiem. Gdy pewnego wieczoru przeor, wbrew zwyczajowi, nie położył się jeszcze spać, lecz siedział przy biurku, mając szereg pilnych spraw do załatwienia, zauważył nagle, że drzwi się otwierają i wchodzi ów zakonnik. Miał on oczy otwarte, lecz nieruchome, brwi zmarszczone i groźny wyraz na twarzy. Był w jednej koszuli i trzymał duży nóż w ręku. Nie zwracając uwagi na przeora i na światło dwóch lamp, stojących na biurku, podszedł wprost do łóżka, o którem wiedział gdzie stało, obmacał je, chcąc jakby przekonać się, czy przeor leży na niem, i pchnął trzy razy nożem tak silnie, że przebił kołdrę i grubą rogożę, która służyła za materac. Następnie odwrócił się i z wyrazem zadowolenia na twarzy poszedł do własnej celi i zasnął na łóżku. Okazało się, iż miał tej nocy sen, że przeor zamordował jego matkę, a gdy jej cień zakrwawiony stanął przed nim i nakazał zemstę, pobiegł jak szalony do celi przeora i przebił go sztyletem. Rano obudził się uszczęśliwiony, że był to tylko sen!.

Największy podziw wzbudzała zawsze niezwykła zręczność i odwaga, z jaką somnambulicy potrafią czasem chodzić po dachach, wdrapywać się na wysokie drzewa i ściany, wspinać się na strome skały, wędrować nad przepaściami i t. d. Debey nawet widział młodą matkę z niemowlęciem na ręku, która wychodziła co noc przez okno i przechadzała się po dachach sąsiednich domów. Niestety, w wielu wypadkach podobne popisy kończą się niezbyt pomyślnie; a czasem nawet śmiertelnie. Hörst n. p. wspomina o młodym człowieku, z którym mieszkał razem. Młodzieniec ten, wychodząc kiedyś we śnie, wypadł na podwórze przez otwarte na piętrze okno, gdyż sądził, że są to drzwi; jednakże nie obudził się, i, gdy wszyscy uważali go za nieżywego, otworzył nagle oczy i ze zdumieniem zaczął wypytywać się, dlaczego leży na podwórzu; nie wiedział on również w jaki sposób poranił się.

Wszystkie stany somnambuliczne cechuje przedewszystkiem całkowite zapomnienie. Ochorowicz np. opowiada o wypadku, widzianym przez niego, gdy pewien osobnik podczas napadu lunatycznego przez cztery godziny kłócił się, gonił kogoś po ulicy i jeździł sankami wśród silnego mrozu, celem odbycia pojedynku gdzieś za miastem, a nazajutrz nie pamiętał o niczem.

Tylko wtedy lunatyk może pamiętać o wypadkach, jakie zaszły podczas snu somnambulicznego, gdy na nowo zapadnie w podobny stan.

Wreszcie bardzo rzadko lunatyzm występuje w dzień, jak np. podczas drzemki poobiedniej.

Już oddawna nauka zajęła się badaniem tak ciekawego zjawiska, jakiem jest lunatyzm. Zauważono, że wiele osobników nerwowych, a szczególniej dzieci, reaguje czynnie na marzenia senne, przewraca się we śnie, wzdycha, mówi coś, a nawet zrywa się nieraz z łóżka. Stąd — jeden krok do somnambulizmu. Lecz niewiele osób dochodzi do tego stanu, który oznacza już chorobę i jest objawem histerji, względnie epi-

lepsji, czyli padaczki; występuje zaś prawie wyłącznie u ludzi młodych. Stanowi z jednej strony pewną chorobliwą formę snu, z drugiej, jest przejawem t. zw. „automatyzmu psychicznego".

Cóż więc zachodzi w psychice lunatyka? Na silne przeżycie we śnie reaguje on częściowem obudzeniem się świadomości. Cała praca psychiki, cała jej energja koncentruje się w danej chwili w pewnym tylko punkcie. Dlatego więc rezultat tej pracy w owym małym punkcie może dawać efekt o wiele silniejszy, niż zwykle. Wszystkie inne ośrodki pobudzające, kontrolujące lub hamujące nie wywierają żadnego wpływu. Tylko niektóre zmysły mogą być obudzone i to często tylko w pewnym zakresie — stąd ich zaostrzenie. Praca umysłowa, pamięć, a nawet twórczość mogą wykazać niezwykłe wzmożenie w jakimś kierunku. Człowiek idzie nad brzegiem przepaści i widzi tylko drogę, pozatem nic, poczucie niebezpieczeństwa nie istnieje więc. Mogą się wreszcie wyłonić z ukrycia nasze pierwotne instynkty. Jednakże w tych stanach główna praca naszej psychiki ześrodkowuje się w podświadomości. Dlatego też nie może być przypomniana na jawie, lecz tylko w stanach pokrewnych — somnambulicznych.

Lunatyka należy bezwzględnie leczyć. Wchodzi to w zakres działalności lekarza - psychjatry. Do obowiązków zaś otoczenia chorego należy: ścisły nadzór, dokładne zamykanie go w nocy i usuwanie wszelkich niebezpiecznych przedmiotów. Budzić lunatyka podczas napadu można, lecz oczywiście nie w takim momencie, gdy grozi mu np. upadek z wysokości.

Istnieją jednak przypadki, w których napady somnambuliczne są ściśle związane z fazami księżyca, a mianowicie z pełnią. Czyż więc księżyc może mieć wpływ na naszą psychikę? Trudno dać stanowczą odpowiedź na to pytanie. Dotychczasowy stan badań naukowych nie upoważnia nas jeszcze do podobnego przypuszczenia. Czy w przyszłości nie zostanie wykryty jakiś „astropsychiczny" wpływ, trudno przewidzieć. Pozorny zaś związek tej choroby z księżycem nie polega na żadnej cudowności, lecz, jak to słusznie mówi Gruszecka, czy nie Gruszecki!! na prastarej, zakorzenionej w nas głęboko, pierwotnej wierze we wpływ księżyca i gwiazd na życie człowieka. W każdym bądź razie, wraz z postępem kultury i cywilizacji ilość przypadków lunatyzmu, związanych z fazami księżyca, zmalała do minimum.

Stwierdzić należy, niestety, iż spotykamy jeszcze dziś wśród pewnych osób przesąd, polegający na obawie, ażeby księżyc nie świecił w oczy podczas snu.

Obawa ta jest, oczywiście, całkiem bezpodstawna.

Nie bójmy się księżyca. Zwalczajmy niepotrzebne przesądy. Przecież noc księżycowa jest tak piękna!

DROBIAZGI O TYGRYSACH

„TYGRYSOLEW".

Skrzyżowanie lwa z tygrysem jest zadaniem niezmiernie trudnem. Nielicznym tylko hodowcom udało się połączyć te dwa, tak wielce odmienne, aczkolwiek do tego samego gatunku należące zwierzęta. Jeśli zaś chodzi o potomstwo z takiego „mieszanego" małżeństwa, to literatura zoologiczna wspomina jedynie o trzech wypadkach tego rodzaju. Dwa urodzenia zdarzyły się mniej więcej 25 lat temu w menażerjach, gdzie różnych drapieżców hodowano wspólnie, nie dzieląc na grupy. Raz u znanego hodowcy i pogromcy zwierząt Haremana (Niemcy), a drugi raz w zwierzyńcu pewnego maharadży. Książe hinduski podarował owego dziwnego bastarda londyńskiemu ogrodowi zoologicznemu, w którym tenże przez wiele lat chował się doskonale. Obecnie zaszedł po raz trzeci fakt spłodzenia dwóch „tygrysolewków". Oba zwierzęta znajdują się w monachijskim ogrodzie zoologicznym, wzbudzając łatwo zrozumiałą sensację. Dokładny ich opis podaje Dr. H. Frickinger, zoolog niemiecki. Matką mieszańców jest tygrysica z Sumatry, ojcem lew z gór Atlasu, zgrabny smukły, z wytworną czarną grzywą, pokrywającą mu nietylko kark, lecz i część brzucha, po obu bokach. Pani matka, to niewielka stosunkowo tygrysica, urodzona we frankfurckim ogrodzie zoologicznym. Przyrodnicy twierdzą, że daleko łatwiej można otrzymać mieszańców z ojców lwów, a matek tygrysic, niż odwrotnie, ponieważ lew (samiec), żyjący na wolności, uprawia wielożeństwo, podczas gdy tygrys odznacza się charakterem samotnym i jest przeważnie monogamistą. Oba „tygrysolewki" są rodzaju żeńskiego, mają bardzo łagodne usposobienie i uprawiają bardzo chętnie sztuczki gimnastyczne. Nie wykazują żadnych cech zwyrodnienia. Zagadnienie płodności „tygrysolwiątek" stoi jeszcze pod znakiem zapytania, ze względu na ich młody wiek. Oba, a raczej obie wykazują wszystkie cechy fizyczne swych rodziców. Zasadniczą ich maścią, jest maść lwa (trochę tylko ciemniejsza), na której bardzo pięknie odcinają się typowe tygrysie pasy, barwy czerwono-brunatnej. *Najciekawszym jest jednak ich profil*, wygięty łagodnie, podczas, gdy lwy odznaczają się prostemi nosami, tygrysy zaś lekko zadartemi.

Uczeni interesują się bardzo młodemi „tygrysolewkami, handlarze futer nie mówią o nich jeszcze. Należy jednak przypuszczać, że jeśli jaka kapryśna Amerykanka zechce wprowadzić tygrysiolwią modę, wówczas „tygrysolwy" staną się odrazu zwierzętami „futerkowemi".

Hodowla może jednak być nieco niebezpieczna.

CAŁA POLSKA NA DETEFON!...

Epokowy wynalazek radja—tego bezsprzecznie najbardziej idealnego instrumentu, dzięki któremu wiedza, kultura i sztuka dociera do najszerszych mas i które ponadto jest potężnym czynnikiem zbliżenia narodów, przez ułatwioną międzynarodową wymianę dóbr duchowych — powołał do życia nowy rodzaj przemysłu: przemysł radjotechniczny.

Przemysł ten stoi dziś na Zachodzie na bardzo wysokim poziomie. Dzięki olbrzymim nakładom pracy i kapitału stworzono tam setki zakładów i wytwórni radjotechnicznych, z których kilka cieszy się sławą międzynarodową i międzynarodowym zasięgiem handlowym.

Jeszcze do niedawna, nasz rodzimy przemysł radjotechniczny nie mógł poszczycić się wielkiemi zdobyczami. Rozpoczynać musieliśmy i w tej dziedzinie od podstaw: od przygotowania odpowiedniego materjału ludzkiego w wskrzeszonych po wojnie politechnikach, skąd przyszli polscy inżynierowie radjotechnicy udawali się zazwyczaj zagranicę, w celu uzupełnienia swych wiadomości praktycznych. W ten sposób wyszkolone kadry, po powrocie do kraju przystępowały z zapałem do tworzenia zalążków radjotechniki rodzimej i własnego przemysłu radjotechnicznego. Szło tutaj nietylko o pokojową samowystarczalność gospodarczą, lecz i o samowystarczalność na wypadek wojny — tem ważniejszą, że najbliższa (oby najdalsza!...) wojna bez szerokiego zastosowania radja jest nie do pomyślenia.

Momentem zwrotnym w historji tego młodego przemysłu był m. październik 1927 roku, kiedy to Pan Prezydent Rzeczypospolitej, zwiedzając zaniedbane podówczas wojskowe warsztaty sprzętu łączności, przy ul. Chmielnej, w Warszawie, rzucił podwaliny pod dalszy rozwój tej placówki, która pod nazwą „Państwowej Wytwórni Łączności" w czerwcu 1929 r. przeniosła się do własnego, obszernego i nowocześnie zbudowanego gmachu o 4.000 m. kw. powierzchni, wzniesionego na dziesięciokrotnie większym terenie przy ul. Ratuszowej Nr. 11 na Pradze. Tegoż roku — tym razem już po raz wtóry — zdała młoda „Wytwórnia" egzamin dojrzałości, dostarczając na manewry wojskowe sprzęt radjowy.

W niespełna półtora roku rozwinęła „Państwowa Wytwórnia Łączności" tak szeroką działalność, że w chwili obecnej stoi na czele tego rodzaju zakładów krajowych i poszczycić się może szeregiem prac o pierwszorzędnej wartości, wykonując między innemi, całkowicie we własnym zakresie, świetnie działającą aparaturę radjostacji morskiej w Gdyni, liczne radjostacje okrętowe, lotnicze, polowe, odbiorniki najnowszej konstrukcji, sprzęt elektro - medyczny, sprzęt pomiarowy oraz wzmacniacze telefoniczne.

Wszystkie działy „Państwowej Wytwórni Łączności" są zaopatrzone w najbardziej nowoczesne maszyny i narzędzia. Mózgiem „Wytwórni" jest jej na europejską skalę urządzone laboratorjum, w którem jej pracownicy specjalizują się w poszczególnych gałęziach radjotechniki, stwarzając coraz to nowe i coraz to bardziej udoskonalone typy sprzętu radjowego. Praca w tem laboratorjum odbywa się w ścisłym kontakcie z polskim światem naukowym. Nic też dziwnego, że ilość własnych patentów „Wytwórni" rośnie z dniem każdym — na chlubę nauki, na chlubę pracy polskiej.

„Państwowa Wytwórnia Łączności" zatrudnia w chwili obecnej 216-tu robotników, 24 osoby personelu administracyjnego, 29 osób personelu technicznego, 7-u technologów dyplomowanych, oraz 3-ch oficerów, w czem dwuch inżynierów elektryków. Na jej czele stoi młody i dzielny „wiarus" radjotechniki polskiej dyrektor inż. Antoni Krzyczkowski. „Wytwórnia" posiada trzy zasadnicze oddziały warsztatowe: 1) oddział obróbki ręcznej i maszynowej o 154 obrabiarkach, z 49-oma silnikami napędowymi, z bogato zaopatrzoną narzędziownią, kuźnią i spawalnią; 2) oddział stolarsko-rymarski i 3) oddział montażowy z malarnią natryskową, niklownią i polerownią. Biuro konstrukcyjne „Wytwórni" posiada w chwili obecnej około sześciu tysięcy rysunków konstrukcyjnych, a jej laboratorjum dochodzi do swego trzydziestego modelu produkcyjnego.

Podnieść również należy, że organizatorzy „Państwowej Wytwórni Łączności" duży wysiłek i dużą uwagę poświęcili sprawie powstawania obok „Wytwórni" pewnych zakładów przemysłowych, stanowiących dla niej przemysł pomocniczy i specjalizujących się w jednym artykule, jak np. wytwórnie kondensatorów, wyrobów bakielitowych, transformatorów małej częstotliwości i t. p. Ponadto polski przemysł elektrotechniczny, jak fabryki maszyn elektrycznych, aparatów elektrycznych do wysokiego i niskiego napięcia, porcelany elektrotechnicznej i t. p., zyskał w „Wytwórni" poważnego odbiorcę.

O zasłużonym szacunku i zaufaniu, jakiem cieszy się „Wytwórnia", świadczy m. in. fakt, że kierownictwo „Polskiego Radja" powierzyło jej ostatnio masową produkcję uniwersalnego i najdoskonalszego odbiornika detektorowego, pod nazwą „Detefon". Odbiornik ten bez wątpienia przyczyni się w szerokim zakresie do spopularyzowania radjofonji w naszym kraju, godnie sekundując wielkiemu dziełu, za jakie uważać można dobiegającą końca budowę nowej potężnej radjostacji raszyńskiej. Dlatego też poświęcimy mu na tem miejscu słów kilka.

Dotychczasowymi hamulcami szerszego rozpowszechnienia się radjofonji w naszym kraju były: stan gospodarczy Polski, zubożonej przez wojnę, słaba elektryfikacja, oraz drogość radjosprzętu.

Mieszkańcy stolicy, a później i większych miast, jak Kraków, Poznań, Katowice, Wilno Lwów i Łódź, mogli, dzięki siedmiu polskim rozgłośniom radjowym odbierać programy na prosty w obsłudze i tani odbiornik detektorowy — lecz olbrzymia większość mieszkańców prowincji, najbardziej radja potrzebujacych, znajdowała się poza zasięgiem detektorowym, a stąd tylko w bardzo ograniczonej liczbie mogła z radja korzystać, odstręczona od niego cenami odbiorników lampowych.

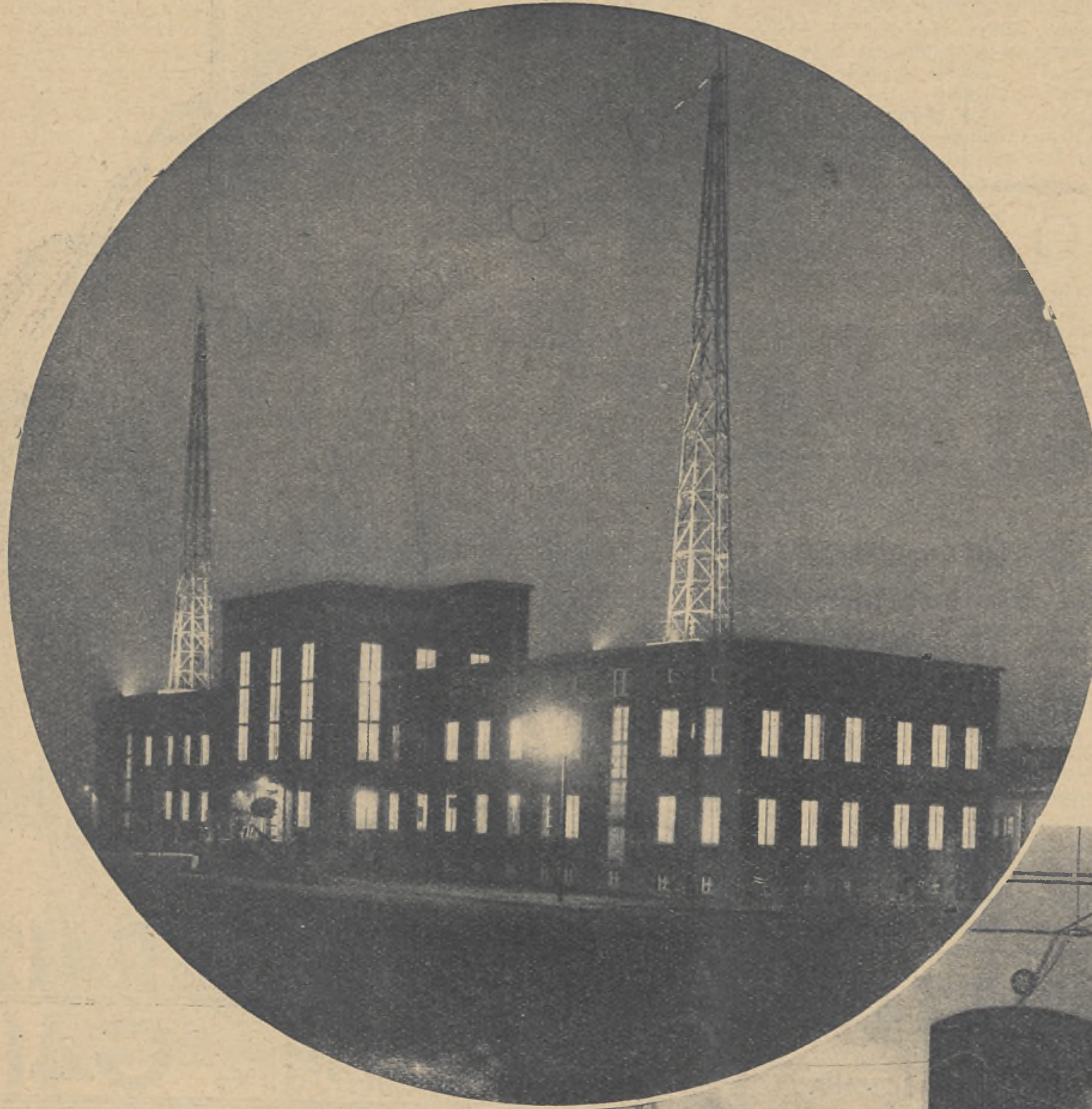
Zagadnienie uprzystępnienia dobrodziejstw radjofonji wszystkim mieszkańcom kraju rozwiąże w pełni dopiero radjowy olbrzym raszyński — najpotężniejsza i najdoskonalsza radjostacja świata, o niemal sześciusetkilometrowym zasięgu detektorowym.

„Cała Polska na detektor!" — oto piękne demokratyczne hasło „Polskiego Radja". Realizacja tego hasła wymagała jednak — obok budowy radjostacji — uprzystępnienia nowym abonentom najtańszego i najdoskonalszego odbiornika. Po długich poszukiwaniach opracowało „Polskie Radjo" schemat takiego idealnego odbiornika detektorowego, powierzając jego masową produkcję „Państwowej Wytwórni Łączności".

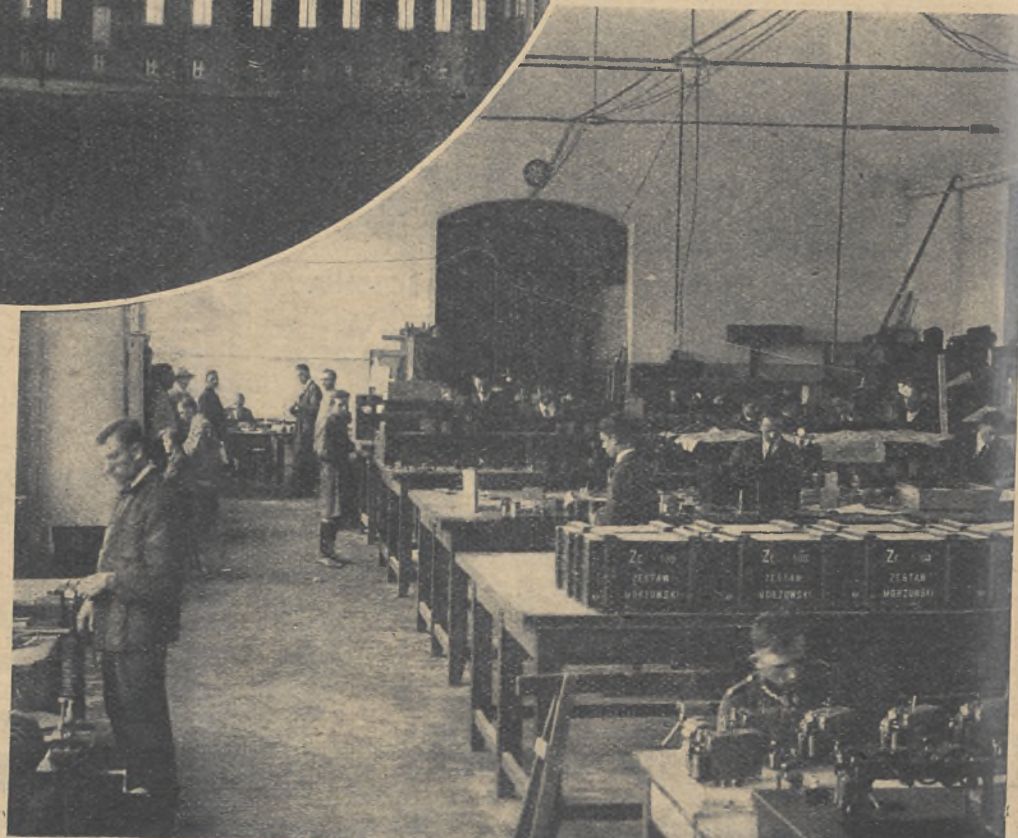




Jak wygląda Detefon...



Ogólny widok Państwowej Wytwórni Łączności



Jedna z sal montażowych.



Zarząd i dyrekcja radjostacji w Gdyni, wybudowanej całkowicie w kraju, przez Państwową Wytwórnię Łączności.

Odbiornik ten, nazwany „Detefon", odznacza się minjaturowemi, zgrabnemi kształtami, upodabniającemi go do maleńkiego aparatu telefonicznego. Skrzynka „Detefonu" jest wykonana z najlepszego gatunku masy bakielitowej w kolorze czarnym, orzechowym lub mahoniowym. Również z masy bakielitowej w tych samych kolorach są wykonane muszle nadzwyczaj lekkich i czułych słuchawek.

„Detefon" czyni nadzwyczaj estetyczne wrażenie, a zaopatrzenie jego skrzynki w specjalne uszka u podstawy, dotychczas niepraktykowane, pozwala na przymocowanie lekkiego odbiornika do stołu lub do ściany, chroniąc go w ten sposób przed upadkiem i możliwem uszkodzeniem.

(Dokończenie na str. 15-ej)



Magazyny.

MIECZYSŁAW JAROSŁAWSKI.

Z notatnika podróżującego lekarza

Ileż to razy podczas podróży musiałem stwierdzić z przykrością, że największym niewolnikiem swego fachu jest lekarz.

Jeżeli jesteś, Czytelniku, dyrektorem banku, wolno ci spokojnie patrzyć na warjata, kupującego beznadziejne akcje. Jeżeli jesteś, pani, nauczycielką, możesz się nie wzruszać analfabetyzmem dzieci na wyspie Haiti. Sędzia w godzinach urzędowych skaże zbrodniarza na śmierć, nie będzie jednak przejmował się bandytą, siedzącym obok niego w fotelu teatralnym. Szewc zrobi buty tylko wtedy, kiedy mu zapłacą, a nawet redaktor, o tyle tylko umieści bezpłatną wzmiankę pośmiertną, o ile w administracji złożony będzie płatny nekrolog. Możesz być architektem i nikt cię nie zmusi do podtrzymania rozwalającego się domu, a nawet bezdomni nie mogą wymagać od ciebie bezpłatnego budowania dla nich baraków. Nawet cyrulika nikt nie zmusi do golenia w sypialnym wagonie ekspressu.

Ale niech ktoś zawoła w razie wypadku: czy tu niema wśród obecnych lekarza? Wtedy lekarz, bez względu na płynące dla niego straty, musi się zgłosić.

Taki już jest fach lekarza.

Dla ilustracji weźmy taki wypadek: Nasza placówka dyplomatyczna w kraju, mocno z nami zaprzyjaźnionym. Przyjęcie — fraki — uniformy ,kapiące złotem, wstęgi, ordery, dekolty jak na plaży... Zbliża się dama.

— Ach, jak to dobrze! Dowiedziałam się, że pan jest lekarzem, **naszym** lekarzem.

Uśmiecham się uprzejmie, bezdźwięcznie zgrzytając zębami.

— O, nie uda się panu zachować swego incognito.

Dama jest rozkoszna, rozbrajająca.

— Tak mi trudno w obcym języku zwracać się o poradę lekarska.

Cóż mam robić? Słucham. Obraz kilku chorób jednocześnie, nie wyłączając początków umysłowej... Niechbym spróbował jednak nie udzielić porady lekarskiej! I to dyplomatycznie. Ot, tak, en passant. Przecież to nic nie kosztuje. Zwykła towarzyska rozmowa.
i natychmiast oznajmia swej przyjaciółce, że spotkała lekarza-rodaka.

Zaczyna się druga anamneza, podczas której pomiędzy oglądaniem języka, a badaniem pulsu należy dyskretnie powiedzieć kilka słów pieszczotliwych w rodzimym języku, gdyż dama cierpi na nostalgję.

Wziętość rośnie. Już o obecności lekarza wie cała kolonja polska i cała go szuka — oczywiście... bezpłatnie.

Ktoś z państwa, gdyby mógł, zarzuciłby mi, żem się zdradził niepotrzebnie z fachem. Niestety! na obczyźnie rodaka pytają przedewszystkiem o to, kim jest. Najbardziej stronią od polityka, najusilniej skaczą koło dziennikarza, najmniej zwracają uwagi na malarza i największej uczynią dla globtrottera, który przyjechał własnym automobilem. Lekarz zaś — musi leczyć, bo chorych nigdzie nie brakuje, a szczególnie tych... na okazję.

Nawet nawpół dzicy beduini, spotkani w hanie granicznym pomiędzy Tygrysem a Eufratem, nie darowali mi fachu, który zdradził tym razem mój paszport. Opadli mnie też, jak mrówki żuka, rzuconego na mrowisko. I dalejże pokazywać uszy, oczy ,ręce, nogi, brzuchy — jednem słowem wszystko to, co, zdaniem ich z punktu widzenia lekarskiego, godne było widzenia, a wymagało **natychmiastowego** uleczenia. W ciągu jednej godziny postoju karawany, musiałem udzielić tylu porad, że gdybym brał za nie honorarja, starczyłoby mi bez mała na podróż z Allepo do Bagdadu. Któż jednak mógł by wymagać zapłaty za udzielanie porad lekarskich w czasie podróży, czyli wtedy, kiedy się oficjalnie wypoczywa i nie przyjmuje pacjentów?! Rozdać przytem musiałem wszystką aspirynę, cały zapas chininy, kwasu bornego i wody Burowa, a ponieważ nie miałem dostatecznej ilości bandaży, musiałem zużyć własne chusteczki z monogramami. Nie dość na tem. W odległym o kilkadziesiąt kilometrów Mossulu jeden z pacjentów zdybał mnie na ulicy i wetknął mi moją własną receptę w ręke z żądaniem, żebym wykupił zapisane mu lekarstwa. Słuszne — pocóż nagrzeszyłem, pocóż zapisałem kosztowny środek?!

Fakt ten przypomina mi inny. Któż z państwa nie pamięta czasów wojny, kiedy o flaszke spirytusu było tak trudno? Otóż i wtedy lekarz, poza innemi, zresztą mniejszej wagi czynnościami, związanemi z fachem, był potrzebny do wydawania recept na spirytus, a co gorsza, musiał, dla uniknięcia podejrzeń, sam go zdobywać dla swych pacjentów, tak jak ja to czyniłem z obawy przed złym humorem jenerała dywizji, do której należałem.

Przypuśćmy jednak, że z tem wszystkiem można się pogodzić. Ale mam w swoich podróżach wypadki, o których dziś jeszcze wspominając, dostaję febry.

Jedziemy aeroplanem. Ja i panna. Wiadomo, że różne bywają panny. Ta była młoda, i chociaż dostatecznie dojrzała do wyjścia zamąż pierwszy raz jechała aeroplanem. Miała tremę i to nie byle jaką... Była to moja znajoma... No, narazie nic więcej.

Rozmawiamy, jak w podróży — dla zabicia czasu. Pouczam pannę, żartuję, straszę i uspokajam naprzemian. W powietrzu jednak niema żartów. Aeroplan wpada w dziury — panna chwyta mnie za rękę. Aeroplan się chyboce— panna obija się o mnie, a ja o pannę. Nagle wpadamy w ciemną gradową chmurę i to już przed samym celem podróży. Pilot walczy — szuka wyjścia, czy zejścia. Sam już nie wiem. A panna w płacz. Pilot wyłącza motor. Cisza.

A panna do mnie: — Niech pan mnie ratuje, panie doktorze!

Co mam ratować, kiedy sam jestem w strachu? Zresztą djabli wiedzą, może za ułamek sekundy rozstaniemy się — ja pójdę do piekła, a panna, oczywiście — do nieba.

Zapewne przeczuwając to rozstanie, panna chwyta mnie oburącz za szyję i woła rozpaczliwie:

— Niech pan mnie nie da, mój panie, przecież pan doktór!

Medycyna broni się, jak może — badam puls, oddech, sięgam do serca... wokoło djablo ciemno. Kto wie teraz, gdzie jest to serce... A panna mdleje i mdleje.. Czuję cały jej miły ciężar na sobie.

Nagle oślepiający błysk światła. Motor furknął wściekle, aeroplan zachybotał się i... kółkami dotknął ziemi.

Panna krzyknęła: — Ach! — i gorączkowo zaczęła czynić porządek wokoło siebie.

Nie zdążyliśmy się jeszcze zorjentować, gdy aeroplan stanął, rozwarły się drzwiczki i ja z objęć córki wpadam w badawczy wzrok... mamusi.

Panna, ratując po swojemu sytuację, informuje, jakby recytowała, bez zająknięcia: — Mamusiu, zaręczyliśmy się z panem doktorem.

Gdybym nie był zielony po tej niesamowitej podróży, zzieleniałbym napewno w tej chwili. Nie żegnając się, wskoczyłem do auta.

I cóż, państwo, powiecie? Nawet nie posłałem rachunku za konsultację. A może myślicie państwo, że mamusia zapłaciłaby mi? Oho! Czem? Chyba... córką.

Oczywiście, takie ewentualności nie grożą już lekarzowi żonatemu. Rekompensuje się to natomiast chorobami całej rodziny ze strony żony. Gdybym się nie bronił, wypełnianoby mi poczekalnię od rana do wieczora. Ale bronię się metodą, stosowaną w Kasie Chorych: wszystkim hurtem na przeczyszczenie. Nie mogłem tylko dać rady pewnej ciotce, która, dorwawszy się do mnie, kazała sobie na wszelki wypadek wyciąć ślepą kiszkę, zoperować kamienie żółciowe i latającą nerkę.

Jednak w dzień i to wszystko zniesie zahartowany eskulap. Najgorsza jest natomiast noc.



Desygnowani na marszałków parlamentu polskiego: wojewoda Władysław Raczkiewicz do senatu, i b. premjer Kaz. Świtalski do sejmu.



Nocy nie prześpi spokojnie żaden lekarz, nietylko we własnym domu, ale nawet jadąc incognito w sypialnym wagonie. Zawsze ktoś ma zdrowie do chorowania.

Posiadam jednak sprytnego kolegę, który urządza się w ten sposób. W nocy śpi jak suseł, o ile nie gra w bridge'a. Zgłoszenia pacjentów przyjmuje jego żona. A wiadomo, że żona w fachu męża jest zawsze o sto procent mądrzejsza od niego.

Telefon.

— Co? Poród? Dobrze. Pan doktór już wyjeżdża.

I oznajmia mężowi o tem dopiero rano. Podobno nigdy się jeszcze nie spóźnił.

Dalej. Telefon.

— Co?

— Pan doktór zaraz ma być. Choremu nie lepiej.

— Niestety, pana doktora niema.

— Szkoda. A co, jak chory chce umrzeć?

— Czy mąż nie kazał brać jakiegoś lekarstwa?

— Chory już zjadł wszystkie proszki razem z opłatkami. Nie wiem, czy można powtórzyć?

— Zaraz panu powiem.

Żona, zasłaniając słuchawkę, pyta się męża, który pomiędzy siedmiu kier a pas — pozwala powtórzyć proszki. Żona skwapliwie powtarza zlecenie.

Pauza.

Potem następuje ostrożne pytanie:

— Proszę pani doktorowej, a czy ten pan, co u pani jest teraz, tyż jest doktór?

Rzecz zrozumiała, że proszki umierającemu nie zaszkodzą, a temu kto ma żyć, wizyta lekarza w nocy jest zgoła niepotrzebna, chociaż nie wszyscy ludzie o tem wiedzą.

Tak właśnie przedstawiała się sprawa, kiedy zawezwano mnie do komisarza bolszewickiego w Jałcie na Krymie. Dygnitarz ten, który niedawno objął urzędowanie, postanowił upokarzać i niepokoić wszystkich inteligentów — „speców".

— Czuję się źle. Niech mi pan coś zapisze. Najlepiej wódki.

— Doskonale. A teraz obejrzyj pan mojego ulubionego osła. Wieczorem wróciłem z tatarskiego aułu. Osioł położył się i nie chce wstać.

Nie oglądając dokładniej zdychającego z przemęczenia zwierzęcia, zaaplikowałem mu też... rozcieranie spirytusem.

Dygnitarz sowiecki dziwił się:

— Towarzysz leczy tak samo mnie, jak i mego osła?

— Nic dziwnego — odparłem. — Panu spirytus już nie zaszkodzi, a osłu również nie pomoże.

Komisarz zastanowił się, czy niema w tej odpowiedzi czegoś, uchybiającego powadze władzy i po dłuższej pauzie zdecydował:

— Skoro zatem, zdaniem towarzysza, mnie nie zaszkodzi, a osłu nie pomoże, więc wypiję i oślą dawkę spirytusu.

Ten wysoki poziom inteligencji komisarza bolszewickiego uratował mnie przed zemstą jego za niedwuznaczne zgoła porównanie.

Nie myślcie jednak, państwo, że zawsze można się wykpić tak łatwo, szczególnie, kiedy ma się do czynienia z osobami prawdziwie inteligentnemi.

Otóż mam znajomych, którzy przy każdem spotkaniu ze mną zawsze na coś nieustępliwie chorują.

W medycynie takie zdrowe okazy nazywamy chorymi... na okazję.

Zdarzyło mi się, że jeden z dobrych moich znajomych usiłuje zwrócić moją uwagę na siebie, demonstracyjnie nie siadając na five oclock'u, bo... No, wiecie, już, państwo, dlaczego.

— Czemu pan nie spocznie? — spytałem go wreszcie uprzejmie.

Przyczynę wyjawił mi dyskretnie na ucho. Nie wierzyłem. Wtedy, oburzony, zaproponował mi natychmiast wyjście do osobnego pokoju, gdzie, nie czekając na zaproszenie, ujawnił przyczynę w całej okazałości.

Defekt nie przedstawiał się bynajmniej tragicznie, ale porady udzielić musiałem — ot, tak... przy okazji.

Okazja! Ba! — Słowo magiczne. Jakie to szczęście, że rozmawiamy tym razem przy pośrednictwie tygodnika „7 Dni", który nie prowadzi rubryki porad lekarskich. Nie wątpię bowiem, że w przeciwnym wypadku taka rubryka musiałaby objąć w przyszłym tygodniu przynajmniej 20.000 odpowiedzi, czyli tyle mniejwięcej, ile obejmuje wyjaśnień Encyklopedja Polska Everta, Trzaski i Michalskiego.

Cała Polska na detefon!...

(Dokończenie ze str. 13-ej)

„Detefon" posiada kondensator obrotowy, służący do strojenia fal, przełącznik na fale krótsze i dłuższe, gniazdka dla dwuch par słuchawek, oraz specjalnie czuły kryształek w oprawce, niedopuszczającej doń kurzu. Dzięki zastosowaniu specjalnego schematu i wobec użycia do „Detefonu" wyłącznie najdoskonalszych materjałów, odbiornik ten odznacza się czułością niemal trzykrotnie większą od dotychczas znanych aparatów detektorowych. Pozwala on ponadto na odbiór nietylko stacji lokalnej, ale i centralnej — zaś przy sprzyjających warunkach może odbierać również stacje o falach krótszych, jak skandynawskie i niektóre czeskie.

Na komplet detefonowy składają się: odbiornik detektorowy „Detefon", kryształek w oprawce, para lekkich i mocnych słuchawek, 40 metrów linki antenowej, sznur izolacyjny, izolator przepustowy, przełącznik na antenę i ziemię, z odgromnikiem, oraz izolatory jajowe dla zawieszania anteny.

Komplet detefonowy, w gustownem i solidnem opakowaniu, wraz z ilustrowaną broszurą objaśniającą, kosztuje zaledwie 39 zł. Rzecz jasna, że tak niską cenę przy tak wielkiej doskonałości odbiornika „Detefon" uzyskać można było wyłącznie dzięki jego masowej produkcji i przy nowych metodach sprzedaży, która docierać będzie do radjoamatora, m. in. przez związki i stowarzyszenia, oraz firmy, w których pracuje. W tych wypadkach, „Detefon" będzie oddawany na 6 jednorazowych spłat miesięcznych, po 6 zł. 50 gr. każda.

Na czele specjalnej organizacji, wyłonionej w tym celu przez „Polskie Radjo", stanie jeden z najwybitniejszych polskich fachowców w tej dziedzinie, dyrektor Roman Rudniewski, b. długoletni dyrektor i członek zarządu „Polskiego T-wa Radjotechnicznego" i „Polskich Zakładów Marconi S. A." w Warszawie. Dyrekcja i biura sprzedaży „Detefon Polskiego Radja" mieszczą się przy ul. Królewskiej 35, tel. 736-32.

Już w drugiej połowie bież. mies. wypuści „Państwowa Wytwórnia Łączności" pierwsze partje „Detefonów", dla których budowy sprowadziła, bądź zmontowała, ponad 50 nowych maszyn i przyrządów pomocniczych.

Zatem za dni kilkanaście — jak Polska długa i szeroka — rozlegnie się po jej najdalszych zakątkach nowe radosne hasło radjowe: „Cała Polska na Detefon!"

JESZCZE JEDNA...

Proszę się nie przerażać: ani epidemja, ani plajta, lecz nowy skrót.

Prócz P. A. T., P. I. M., P. A. P., P. I. D. będzie jeszcze P. I. T.

Tajemnicza formuła oznacza:

Powszechna Informacja Telefoniczna.

Trudno, trzeba będzie i ten skrót przetrawić, to znaczy spamiętać. Należy się pocieszać, że są kraje, w których operuje się samemi skrótami.

Ludzie, jakoś to wytrzymają. Znaczy pamięci zbytnio nie przeciążymy.

Nowy skrót należałoby spamiętać z samej bodaj wdzięczności, bo P. I. T. postawił sobie za zadanie — pamiętać za wszystkich. No, zo baczymy!

TEODORA DRZEWIECKA.

Londyn w nocy

Londyn w nocy! To nie jeden potężny obraz, który możnaby zamknąć w kilku wielkich linjach... Nie! To nieskończony cykl różnorodnych, nieprawdopodobnie odskakujących od siebie obrazów, nagle, zagadkowo, nieoczekiwanie łączących się ze sobą i tworzących na podstawie kontrastów — urok tego wspaniałego, a zarazem potwornego, cudownego, a jednocześnie — niesamowitego miasta. We dnie, kiedy metropolja Brytyjskiego Imperium, licząca z przedmieściami ośm miljonów mieszkańców, żyje swoim zawrotnym tempem, odrębność ta nie rzuca się tak w oczy. Przeciętny podróżny, trzymający się niewolniczo utartych gościńców centra, podziwia jedynie kalejdoskop jaskrawych, olbrzymich plakatów - reklam, szalony, a tak świetnie uregulowany ruch uliczny, olimpijski spokój i przysłowiową uprzejmość policemenów. Lecz—czy będzie to Strand, czy Regent - Street, Piccadilly, czy Oxford Circus, — koniec końców, to samo, tylko w zmniejszonym rozmiarze ujrzeć można i w innych stolicach Europy.

Ale jakże krańcowo różni się od nich Londyn w nocy! Weźmy choćby „City", tę najstarożytniejszą dzielnicę Londynu, „City" — dokoła której od dwóch tysięcy lat narastało stopniowo, bezładnie, bez planu — miasto - olbrzym. Dziś jeszcze znaleźć można ślady panowania tu Rzymian, z czasów Juljusza Cezara, kiedy miasto nazywało się „Londynium"... Tu dokoła, potedry św. Pawła, „Bank of England" i giełdy, w tych prastarych ulicach i wąskich zaułkach, po krytych ciemną patyną czasu, w tych olbrzymich gmachach, zajętych wyłącznie przez instytucje rządowe i banki, biura, agencje i przedstawicielstwa, — poruszają się gigantyczne koła przemysłu i handlu Brytyjskiego Imperium i przewalają się już nie miljony, a miljardy funtów szt. Tu, co rano, kolejami zwykłemi i podziemnemi, tramwajami i autobusami, (których n. p. kursuje po Londynie i okolicach *dwadzieścia dwa tysiące*, a wszystkie są piętrowe) — napływa między 8-ą a 9-ą *półtora miljona* t. zw.: „białych niewolników City", t. j. urzędników i urzędniczek, biuralistów i biuralistek, pracujących tutaj.

We dnie „City", to piekło, z którego zbłądzony przechodzień ucieka, co sił! W nocy, — to olbrzymie, opuszczone cmentarzysko, wymarłe miasto...

Lecz niedaleko stąd — jest dzielnica, w której nawet w nocy — życie wre i kipi.

To Fleet Street, z przylegającemi doń bocznicami... Królestwo prasy londyńskiej, państwo najkolosalniejszych w Europie rotacyjnych maszyn, wyrzucających o świcie do dziewięciu miljonów pism porannych... „Daily Mail", „Daily Express", „Times", „Morning Post", i X innych.

Nieprzerwanym sznurem stoją tu w nocy olbrzymie furgony - samochody, które za kilka godzin, pędząc poprzez puste jeszcze arterje Londynu, mają rozrzucić je w promieniu kilkunastu mil, dostarczyć do stacji kolei żelaznych i na stację poczty lotniczej.

Oto restauracje, otwarte tu przez całą noc dla zastępów tych, co tu wlatują bez kapeluszy, bez marynarek, wielu w skórzanych fartuchach i płóciennych kitlach. Redaktorzy, zecerzy, telefoniści, metrampaże, krytycy teatralni i *last,— but not least*, — reporterzy, na których twarzach można poprostu wyczytać najświeższą zbrodnię, nieugaszony dotąd pożar, ostatni sensacyjny wypadek!... Wszyscy ci ludzie cisną się do bufetów, zaspakajają na prędce głód, czy pragnienie, i nie tracąc chwili czasu, wracają do swojej gorączkowej pracy...

Łączy ich wszystkich na razie i niweluje różnicą ich stanowisk jedno małe, a wszechpotężne słowo: *„NUMER!"*.

Niedaleko stąd są miejsca znacznie ciekawsze.

Tu, po prawej stronie rzeki, ciągną się w zwartym szeregu słynne doki londyńskie, do których codziennie dobijają statki ze wszystkich stron świata.

Wiatr przynosi nam już charakterystyczny, ostry zapach morza i smoły, nad którym zwykle góruje tu jakiś inny, zasadniczy zapach... Czasem zalatuje tu ohydna woń niewyprawionych skór i wełny, ale często ślicznie pachną doki sosnami i jodłami z dalekiej północy, czasem upajająco — słodko pachnie mimoza, wysoko spiętrzona pod włoską lub francuską banderą, dziś — pachną tu ananasy. Widocznie nadszedł olbrzymi ładunek z Singapoore...



Wieloletnia korespondentka londyńska pism polskich, p. T. Drzewiecka, rozpoczęła od 1 grudnia współpracę z naszem pismem.

Doki. Port. Niebezpieczne to miejsca. Tu nawet londyński policeman nie chodzi w nocy w pojedynkę.

Wkraczamy w chińską dzielnicę. Tu gnieżdżą się męty i szumowiny stolicy... Tu, za tymi brudnymi, wilgotnymi murami, kryje się niejedna palarnia opium, niejedna jaskinia gry i rozpusty... Walczy z nią policja, urządza raidy, lecz o radykalnem usunięciu tego niema mowy. Z niezliczonych statków, kołyszących się tu na kotwicach, iluż to zeskakuje codziennie marynarzy, żądnych wszystkich tych rozkoszy, jakich pozbawieni byli na pokładzie, przez długie, długie miesiące... A tu — hazard, i niedozwolone trunki, i swoja, angielska dziewczyna!... Jak oprzeć się temu?... Więc idą. Zaprowadzą ich usłużni pośrednicy, huligani, czychający na takie gratki... Cóż stąd, że z owego raju wyrzucą pijanego gościa nad ranem, ogołociwszy go ze wszystkiego niemal, często poranionego, o ile opór stawiał... Cóż z tego!... Kiedy odpłynie, i znowu miesiącami nic, prócz morza i nieba wiedzieć nie będzie, z upojeniem wspominać będzie tę „Noc w Londynie"...

Ale nie należy przypuszczać, że cała ta dzielnica — to jeden szereg jaskiń... Nie... Zamieszkuje ją i ludność spokojna, przeważnie egzotyczna, — murzyni, hindusi, japończycy. Przechodzimy w tej chwili koło jakiegoś domku, gdzie z nawpół otwartego okna spływają dziwaczne dla naszego słuchu dźwięki japońskiej melodji... Za tą firanką, którą wiatr lekko porusza, siedzą prawdopodobnie w tej chwili Japończycy. Siedzą na ziemi pokrytej plecionymi matami, otoczeni swoimi bogami, wpatrzeni w wijący się dymek kadzidła, z twarzami zwróconemi ku Wschodowi. W tę mglistą noc londyńską bardziej niż kiedykolwiek pożerać ich musi nostalgja za ich daleką, słoneczną, tonącą w kwiatach ojczyzną...

A teraz podążmy na inne wybrzeże Tamizy, na to, które ciągnie się w samem sercu Londynu, i idzie równolegle z „Charing Cross Gardens". Pzekonajmy się naocznie, czy prawdą jest to, co mówią... Niestety!... Tak!... Na ławkach skulone, zastygłe jakby od zimna, siedzą tu jakieś ludzkie postacie. Szyje ich i nogi poobwijane są w gazety, które mają chronić ich od przejmującego chłodu nocy... To bezdomni Londynu... To ostatni nędzarze... To ci, którzy się już dziś nie przedostali ani do kościoła: „St. Martin in the Fields", ani do katolickiego kościoła na Leicester Place — dwóch świątyń, litościwie otwartych przez całą noc dla biedaków bez dachu. O, straszliwa nędzo wielkich miast... Czy nie tą miał na myśli Żeromski, gdy mówił: *„O miasto, miasto! Gdybyż była w człowieku moc, żeby mógł do piersi przycisnąć ciebie, miasto!"*

A czy ci ludzie, których dręczy zimno, których dręczy głód, — nie wiedzą, nie widzą, że o paręset kroków, niemal naprzeciwko nich, — piętrzą się dumnie najwspanialsze Palace — Hotele stolicy, gdzie bez przerwy leje się i pieni szampan w kryształowych kielichach?

Tu, nad tajemniczą, złowrogo lśniącą rzeką lodowaty wicher świszcze i zrywa z nędzarzy te ich tragiczne szmaty gazet... A tam... „Tango". Tańczy je w „Midnight Follies", gdzie samo wejście kosztuje siedemdziesiąt złotych od osoby, — młodziutka, cudna, jak marzenie Meksykanka.

Za cenę jednej tylko wiązanki boskich storczyków, czy róż, — jakiemi ją tu, po za czekami, obsypują zblazowani miljarderzy, — skostniali na żelaznych ławkach i pod mostami nędzarze mieliby zapewniony dach nad głową i kawałek chleba na długie, długie tygodnie...

Najwyższy zbytek i najstraszliwsza nędza, nigdzie chyba nie ścierają się tak blisko, jak w Londynie...

Nie, nie... Nie mówmy już o tem... Dziś — przynajmniej...

Pośpieszmy jeszcze na Leicester Square, skąd potokami wylewają się samochody i autobusy we wszystkich kierunkach. To skończyły się teatry, które w Londynie skoncentrowane są w jednej dzielnicy. Co za cudowne kobiety wsiadają do luksusowych maszyn, co za płaszcze gronostajowe, sobolowe, lub z lejącego się, jak rozpławione złoto — brokatu!... Co za męskie rasowe postacie... Jakie czaszki, jakie profile!

Do dwunastej panuje jeszcze ruch na ulicach, lecz gdy z wielkiego zegara, zwanego „Big Ben", znajdującego się na wieży Westminster Abbey, bije północ, — miarowe jego uderzenia spadają na Londyn pogrążony w sen i ciszę...

Jak odtłuścić i ożywić tłustą cerę

Z dodatnich wpływów ciepła na cerę wymienić należy działanie wyższej temperatury na tłustą cerę. Osoby o tłustej właściwości cery wiedzą z doświadczenia, iż w porze letniej bywają złagodzone objawy łojotoku twarzy, o ile nie posługują się kremami i nie myją twarzy zimną wodą i mydłem. Ciepło bowiem nietylko pobudza skórę do żywszej przemiany fizjologicznej, ale przetapia też zalegający w porach twardy tłuszcz na postać oleistą. Jeśli ponadto spłókuje się twarz rano i wieczorem gorącą wodą, myje się proszkiem marmurowym „Miraculum" i odtłuszcza odtłuszczającym pudrem higjenicznym D-ra Lustra, przeobrazi się tłustą cerę w prawidłową. Z ożywczych środków wolno stosować tylko emulsję biokosmetyczną: mleczko — „Litynę", którą powleka się twarz na 10 minut przed każdem myciem.

Dr. Zenon B.

Scena i estrada



„Wesoły wieczór" stracił jedną ze swych gwiazdek. Jest nią p. Fela Staniszewska, którą dyr. firmy kin. Petef, p. Ina Łabędziowa, zaangażowała do filmu „Orlica" (wg. Ossendowskiego) do roli przyjaciółki głośnej artystki Betty Amann.

WIELKA ATRAKCJA KRAKOWA



P. Stanisława Karlińska, artystka teatru „Morkie Oko", występuje gościnnie w krakowskiej „Bagateli", gdzie doskonałą, pełną werwy grą, zjednała sobie całą publiczność, święcąc prawdziwy tryumf.



Znany kompozytor, pisarz i krytyk muzyczny, Henryk Opieński, stale przebywający zagranicą, przyjechał do Warszawy celem odbycia w Filharmonji koncertu jubileuszowego 35-letniej działalności.

Z teki anegdot

Jednym z ulubieńców Warszawy w okresie przedpowstaniowym był sławny aktor Żółkowski. Cieszył się on nietylko popularnością publiczności polskiej, ale również przyjaźnią wielkiego księcia Konstantego. Na owe czasy był to honor nielada, gdyż Konstanty obdarzał swemi łaskami niewielką gromadkę osób. Jednakże Żółkowski, który odznaczał się wielkim humorem i dowcipem, nieraz zalazł wielkiemu księciu za skórę, za co był niezliczone razy karany.

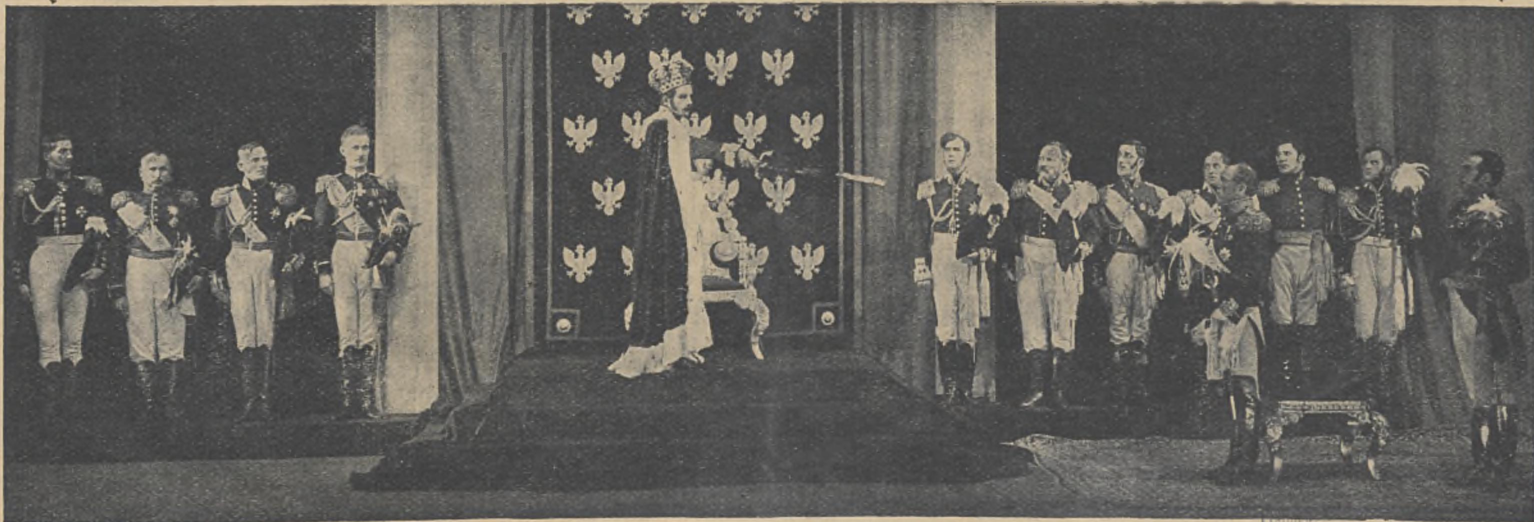
Pewnego razu założył się z zausznikiem wielkiego księcia, a jednocześnie jego szefem sztabu Kurutą, że w ciągu 15 minut przeniesie go na plecach od Ogrodu Saskiego do Mokotowa. Zakład był wysoki. Narobił on niemałego huku wśród ówczesnego high - lifu stołecznego. To też w dniu oznaczonym tłumy ludzi w powozach i pieszo przybyło na plac zawodów. Skoro zjawił się Kuruta, Żółkowski oświadczył:

— Rozbieraj się pan!...

— Jakto mam się rozbierać?!...

— No tak!... Założyłem się, że przeniosę pana, ale nie jego ubranie i bieliznę...

Oczywiście Żółkowski zakład wygrał, gdyż Kuruta niemógł w obecności pań ukazać się w stroju Adama.



Scena ze „Spisku koronacyjnego" w Teatrze Narodowym. (fot. Malarski)

PIERRE MAC ORLAN. 11)



Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli", zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie. postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja - Chantal Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

— No, to niech mi pan da forsę i zapisze wszystko na kartce, żebym czego nie zapomniała.

— Masz rację.

Eligjusz Mutter spisał starannie listę sprawunków i przeczytał, licząc na palcach. Dał kartę dziewczynie i powiedział:

— Idź, Chéri-Bibi, i wracaj cała.

Kiedy mała znikła za rokiem ulicy, Eligjusz Mutter wszedł do sklepu, zostawiając drzwi od ulicy otwarte. Wyjął znów dokumenty, schowane w szufladzie. Rozłożył na stole fotografje Marji-Chantal Fosseuse, Saint-Thierry'ego, Flahaut'a, Ludwika Fraipont i Drohena. Pod fotografją Marji-Chantal widniała dedykacja: „Panu Eligjuszowi Mutterowi w dowód przyjaźni od Marji-Chantal Fosseuse".

— Nie napracowała się zbytnio, żeby wymyśleć to zdanie — stwierdził Eligjusz Mutter, uśmiechając się ze smutkiem.

Przyglądał się długo fotografji ładnej kobiety. Potem wziął podobiznę Saint-Thierry'ego; ta była bez dedykacji. Fotografja Flahaut'a przedstawiała go w mundurze żołnierza z czasów wojny. Portret młodego Ludwika Drohen, naklejony na tekturę ze złoconym brzegiem, nie przedstawiał nic ciekawego dla amatora dzieł sztuki. Eligjusz Mutter ułożył wszystkie fotografje obok siebie i przyglądał się im z wysuniętym językiem, co zawsze oznaczało u niego wielkie zainteresowanie. Westchnął i mruknął do siebie: „Która jest dobra?" Potem zamknął na klucz drzwi sklepu i wrócił do swoich dokumentów. Następnie zapalił papierosa i usiadł przed lustrem. Przez chwilę robił różne miny, marszczył czoło, przewracał oczami, starając się pokazać tylko białka. Po tych ćwiczeniach zaczął poruszać końcem nosa i wydął policzki. Przyczepił sobie sztuczną brodę, podobną do tej, jaką nosił Landru. Później zdjął brodę i przykleił nad górną wargą wąsiki „a le Chaplin". W ten sposób uzyskał dosyć trafny obraz Haartmana, rzeźnika z Hanoweru. Dzięki szmince, skóra jego stała się świecąca i woskowa. Wstał ostrożnie i czekał przez chwilę nieruchomo. Wydawał się sam sobie woskową figurą, zupełnie podobną do tych, które w muzeum Grevin usiłują wprowadzić w błąd łatwowierną publiczność.

Eligjusz Mutter zabrał się zkolei do ćwiczeń gimnastycznych. Przykucnął na podłodze, przygotowując się do skoku, potem potoczył się po podłodze jak wałek. Wreszcie wstał i rozstawił swoje długie nogi. Nagle zatrzymał się, zdyszany, gdyż ktoś walił pięścią w drzwi.

— Panie Mutter, niech pan otworzy, to ja!

Eligjusz Mutter zerwał wąsiki „a la Chaplin", włożył czapeczkę i podszedł do drzwi, nie śpiesząc się.

— To ty, chéri-Bibi. Walisz w drzwi, jak szalona. Niszczysz wszystko ,czego dotkniesz. Powiem mamie, możesz być pewna.

— Pan Flahaut zaraz przyjdzie. Czy trzeba zagotować kawę? Mógł pan przynajmniej nastawić wodę. Nie traciłabym tyle czasu.

— Przyniosłaś rogaliki i bułkę dla psa? W takim razie weźmiesz sobie bułkę, bo pan Flahaut zje twój rogalik. Daj mi gazetę.

Eligjusz Mutter pośpiesznie zrobił w myśli przegląd wszystkich wydarzeń poprzedniej nocy i kilku ubiegłych dni. Rzucił gazetę na krzesło i usiadł ostentacyjnie przed drzwiami sklepu.

Witał się ze wszystkimi znajomymi mieszkańcami dzielnicy i każdemu mówił:

— Mała Chéri-Bebi mi sprząta, bo jej matka jest chora.

Zobaczył zdaleka Flahaut'a i zatarł ręce na znak zadowolenia.

— Prosiłem, żeby pan przyszedł dotrzymać mi towarzystwa, bo nie mogę zostać sam z posługaczką ze względu na moją opinję.

— Też ma pan pomysły! — zawołał Flahaut oburzony. — Kazał mi się pan zerwać z łóżka; myślałem, że się pali. Nie jadłem nawet śniadania.

— Niech się pan uspokoi. Jest kawa i rogaliki. Przejdźmy do pokoju.

Usiedli przy biurku, które Chéri-Bebi nakryła serwetką. Dziewczynka przyniosła śniadanie.

— Chéri-Bebi — rzekł Mutter — zamieciesz teraz sklep i pójdziesz do domu. Zostawisz drzwi sklepu otwarte, bo chcę wiedzieć, co się dzieje na ulicy. Panie Flahaut, niech pan pije kawę, póki jest gorąca. Jeden czy dwa kawałki cukru?

Obaj panowie jedli w milczeniu. Flahaut wsadził nos w filiżankę. Eligjusz Mutter pił kawę małemi łykami, huśtając się na krześle. Patrzał obojętnie na Chéri-Bbei, która zapinała sweter, wybierając się do domu.

— Lucjana Fraipont uwolniono — rzekł Eligjusz Mutter. — To znaczy, że był niewinny. Ale ten idjota będzie wszędzie opowiadał, że ja go zadenuncjowałem. Mówi wszystkim, którzy chcą słuchać jego głupstw, że przy pierwszej okazji obedrze mnie ze skóry, jak królika. Wiem, że takie rzeczy mówi się w przystępie złego humoru. Pomiędzy projektem a wykonaniem jest cała przepaść ,ale nie lubię tego rodzaju projektów. Coby pan zrobił na mojem miejscu? Bo czy można wiedzieć, do czego jest zdolny taki Fraipont.

— Blaga! — rzekł Flahaut. — Jeśli ma pan rzeczywiście jakieś obawy, należy się zwrócić do policji.

— Nie chciałbym mieszać policji do moich spraw. ze względu na moją klientelę.

— No to niech pan kupi rewolwer i czeka na rozwój wypadków. Widziałem Chassenois i Maugarenne'a. Mówią, że policja natrafiła na poważny ślad. Wykryto kobietę, która była w „Balu motyli" na kilka godzin przed popełnieniem morderstwa. Ta sama, o której mówił

policjant, że zmykała jak mysz, nad ranem na Avenue de Versailles.

— Panie Flahaut, mam wrażenie, że wie pan więcej, niżby pan chciał powiedzieć. Ceni pan swój spokój i nie chce pan dużo mówić. Właściwie ma pan rację. Dla tych samych powodów unikam systematycznie wszelkich spotkań z policją. Tem niemniej przysięgam w obliczu Boga, że jestem uczciwy.

— Ale ja nic nie wiem, drogi przyjacielu. Gwiżdżę na tę całą historję. Pan jeden ze mną o tem mówi.

— Ach! — westchnął Eligjusz Mutter — czuję, że mi pan nic nie powie.

— Kochany panie Mutter, zawraca mi pan głowę. Do widzenia.

Flahaut wziął kapelusz, uścisnął dłoń przyjaciela.

— A zatem do wieczora w „Lisie".

Eligjusz Mutter patrzył za nim, uśmiechając się impertynencko.

— W ten sposób dowiadujemy się tego, co inni trzymają w brzuchu.

Zamknął sklep i poszedł w kierunku placu Pigalle. Uśmiechał się ciągle. Nagle zauważył, że wszyscy przechodnie przyglądają mu się rozbawieni. Niektórzy nawet specjalnie się oglądali, aby go lepiej widzieć. Eligjusz Mutter był bardzo zdziwiony. Lubił przechodzić niepostrzeżenie, co zazwyczaj udawało mu się dosyć łatwo. Kiedy zauważył, że jego pojawienie się na ulicy zaczęło przyciągać dzieci, ogarnął go niepokój. Rzeczywiście, zbliżały się do niego z nieukrywanem zaciekawieniem. Eligjusz Mutter przyśpieszył kroku. Usłyszał za sobą gwizdy.

— Do djabła! — mruknął. — Komplikuje się.

Stanął przed lustrem jakiejś wystawy. Z trudem poznał siebie. Bez namysłu zdjął swoją czerwoną czapeczkę ze złotym galonem i schował do kieszeni. Dzieci zniechęciły się.

Bez przeszkód już przyszedł do Saint-Thierry'ch, którzy właśnie wstawali.

— Patrzcie państwo, nasz przyjaciel Mutter! — zawołał Szymon. — Zostaniesz u nas na śniadaniu.

Marja-Chantal, która weszła w tej chwili do pokoju, podała mu rękę.

— Ależ naturalnie, koniecznie...

— Przybladła pani trochę — zauważył Mutter. — Zmiana pogody zapewne. A jak się sprawuje pani małżonek?

— Pisze — odparła Marja-Chantal.

— Pokażę mu pieśń, którą skomponowałem na pamiątkę zabójstwa le Caid'a. Nie dobrałem jeszcze muzyki, ale czuję, że natchnienie mnie nie opuści.

— Mój kochany — zwróciła się Marja-Chantal do męża — proszę cię bardzo, zejdź i przynieś nam trzy tuziny ostryg. Izabella jest zajęta, a ja jeszcze nie jestem gotowa.

— Każę je odrazu otworzyć — powiedział Saint-Thierry.

Kiedy Marja-Chantal została sama z Mutterem, usiadła i zamyśliła się głęboko.

— Panie Mutter — zdecydowała się nagle — czy głos zmienia się przez telefon?

— Tak i nie — odparł Mutter z uśmiechem.

— Niech się pan nie obawia...

— Telefon — zaczął Mutter — jest zwierzęciem dwugłowem... Jest poza tem...

— Panie Mutter... boję się — szepnęła Marja-Chantal. Wstała i potarła ręką czoło. — Jestem głupia i zdenerwowana... będzie mnie pan uważał za idjotkę, ale od dwóch dni, to jest od przyjazdu z Barcelony, jestem dziwnie niespokojna.

IX.

Po powrocie z Barcelony Marja-Chantal miała stale wrażenie, że jakaś tajemnicza istota krąży dokoła niej, jakkolwiek pozbyła się uczucia niepokoju, które ją dręczyło, gdy zostawała sama. Obecność tej dziwnej istoty, której nie potrafiła określić, wyczuwała podczas przyjacielskich zebrań w jej mieszkaniu, w alkowie sklepu Muttera lub też w sali, zarezerwowanej dla stałych bywalców „Lisa"

Saint-Thierry i jego żona przebyli trzy tygodnie w pięknej stolicy Katalonji. Zatrzymali się w hotelu na placu Catalunya i wydawali pieniądze bez ograniczenia.

— Jesteś bogaty — mówiła Marja-Chantal do swego męża.

— Nie jestem bogaty, ale dobrze zarabiam. Żyjemy teraz na koszt mego biura. Jestem urzecznikiem walki ze szpiegostwem. Zajęcie to wymaga odwagi, kultury, sprytu, stosunków i pewnego talentu romansopisarza. Zrób rachunek: tyle za kulturę, tyle za spryt, tyle za talent, a otrzymasz pokaźną cyfrę.

— Zapominasz jeszcze o jednem — zauważyła Marja-Chantal.

— Co masz na myśli?

(D. c. n.)

WŁADYSŁAW WOŁK.

W NOC ŚW. MIKOŁAJA

GAWĘDA LUDOWA.

Idzie sobie św Mikołaj polem równiuteńkiem, bieliutkiem, niby komeszka samego księdza proboszcza, na pasterkę lub nowy rok, może tak bieluśkiem, jak skrzydełka aniołków, które idą za św Mikołajem i niosą podarki dla dobrych ludzi.

A św. Mikołaj, co ujdzie stajanie, to zatrzyma się i zamyśli srodze. Zatrzymuje się, bo uszedł już spory kawał drogi, więc utrudzon mocno, a tyle ma jeszcze drogi przed sobą, bo i temu chciałby coś dać, i o tamtem nie zapomnieć, jakże w świecie wielka bieda i każdemu by się coś przydało.

Przyśpieszył tedy kroku i idzie, jakby mu lat ubyło, a wiatr świszcze wedle świętych uszu i w twarz bije szpilkami.

Lecz św Mikołaj nic sobie z tego nie robi, jeno czasami tylko ręką siwą brodę przytrzyma, bo mu ją wiatr zanadto czesze, infułę poprawi i idzie.

A o nikim nie zapomina. To wajdzie do małej chatki, gdzie dzieci chmara i bieda wielka, rozda podarki, pocieszy, po twarzy pogładzi dziecka po głowinach, to znów wstępuje do takich domów i pałaców, że aż oczy od białości bolą, gdy się człek na nie patrzy. Mija zagrody, domy, wsie i miasta, aż tu siedzi sierotka Wojtuś, któremu ojciec zmarł zeszłego roku, a matki wcale nie pamięta. Siedzi na progu chatki boso, w koszulince, boć przecie te padorte szatki, co miał na sobie, za ubranie liczyć nie można, i nic — tylko patrzy w święctego.

A co spojrzy chłopiec, to zaraz głowę spuszcza i oczy przeciera, jakby mu mgła zasłaniała księżyć i gwiazdy.

Ale przecie święty Mikołaj nie zdziwił się temu wcale, bo wiedziała wieś cała, że Wojtuś mądry nie był.

Niby nic takiego nie wydziwiał, ale ino tylko zobaczy, że jakaś matka pieści swoje dziecko, biegnie tam zaraz, gębę otwiera i tak się patrzy, jakby oczy z głowy wyskoczyć chciały



Święty Mikołaj.

Bili go za to ludziska, popychali, a najbardziej ta Michałowa, u której Wojtuś sługiwał do gęsi. Zawsze jednak znalazł się ktoś taki, kto go brał w obronę i mówił:

— Dajcie ta, dobrzy ludziska, spokój, wszak wiecie, że to głuptas.

Idzie tedy św. Mikołaj do Wojtusia i głośno krząka, żeby na siebie zwrócić uwagę, a chłopak nic, ani klęknie, ani czapki nie zdejmie, jeno wybałusza ślipie i patrzy.

A św. Mikołaj na to:

— Cóż ty, Wojtusiu, nie poznajesz mnie?

— Jużci poznaję — jeno Was się spodziewałem, że z nieba zejdziecie po promieniach księżyca, jak po drabinie, a Wy tymczasem od lasu przychodzicie.

Uśmiechnął się św. Mikołaj, okulary na nosie poprawił i znowu pyta:

— Powiedz mi, Wojtusiu, coby śty dzisiaj chciał dostać odemnie? Może czapkę, nowe buty i ubranie?

— Nie.

— A może chciałbyś ciastka i figi i abyś nigdy głodny nie był?

— Także nie.

— A może dużo srebra, złota, aby ci dobrze było na świecie i byś się o nic nie turbował.

— Także nie.

Św. Mikołaj aż krzyknie:

— Gadaj mi zaraz, smoluchu jeden, co chciałbyś otrzymać, bo mam moc wielką i wszystko ci dać mogę, czego tylko zapragniesz.

A Wojtuś z radości aż podskoczy, obejmie świętego za nogi i prosi:

— Ja bym chciał, św. Mikołaju, aby mnie ktoś choć raz w życiu pokochał, popieścił i pohołubił, jak matka swoje dziecko.

Zasmucił się św. Mikołaj i nie rzekł ani słowa, jako że miłość matki jest jedyną rzeczą, której mu dać nie mógł.

WILLY REESE.

Hochstaplerzy

Marquis de Champaubert

III.

— Jednak, — mówił dalej Aimable, po przesadnie długiej przerwie — krótko przed zakończeniem rozmowy, poprawiła dama swe pierwsze określenie, ale z usilnem przekonaniem: „Powiedz pan, proszę, panu baronowi Clement, że karta, o której myśli, jest ósemka coeur!„

Clément odwrócił przed nim na stole leżącą kartę, tak że ją wszyscy widzieć mogli.

Pułkownik Jamais ostro spojrzał na kartę. Zbladł.

— Wygrałeś pan, baronie Clément.

Było to wszystko, co żołnierz ten powiedział.

Wkrótce po północy opuścił czarny magik gmach klubowy. Henry Boulogne wypił swój mrożony cocktail i również się pożegnał. Śledził Clémenta. Taksówką. Przez Montmartre aż do pewnej cichej ulicy. Boulogne ani trochę nie był zdziwiony tem, że ten człowiek, który tak ładną sumkę w klubie zagarnął, stanął przed jednopiętrową willą, wynajętą przez M-lle Gussy Héribal.

Henry przeskoczył przez parkan, śpiesznie przeszedł przez żółty żwir, zauważył wązki gzyms, który nizko ciągnął się dokoła malutkiego budynku i wspiął się po nim w górę. Przyczaiwszy się pod nawpół otwartem, jasno oświetlonem oknem, zdołał podsłuchać każde słowo rozmowy, prowadzonej pomiędzy Clémentem, a piękną kobietą w pyjamie.

— Clémencie, najukochańszy! Byłam już w wielkim kłopocie! O mało co nie wyrządziłam jakiegoś głupstwa!

Podsłuchujący podniósł głowę. I zobaczył młodych ludzi, namiętnie się całujących...

— Wszystko dobrze poszło, Gussy! W przeciwnym wypadku byłoby bardzo źle. Gdyż, pomijając ładną sumkę, któraby się nam wymknęła, doszłoby jutro do wcale nieładnej sceny, gdy stwierdzonoby, że wystawione czeki nie mają pokrycia. Ale co się właściwie stało?

— To ten przeklęty telefon! — wybuchnęła. — Był dziś wieczorem strasznie niewyraźny. Zdaawło mi się, że pytano się o Madame Cleuron, oczywiście, odpowiedziałam: „As pique". Właśnie, gdy chciałam odłożyć słuchawkę, usłyszałam: „Dziękuję bardzo madame Fleuron!" Jakaż to straszna chwila! „Jedną minutę proszę!" — zawołałam w samą porę. Przejrzałam szybko w tabeli skrótów, jaka karta określona jest nazwiskiem „Fleuron". Wtedy powiedziałam wolno i z takim naciskiem, jak tylko możliwem było: „Omyliłam się w otrzymanej wiadomości. Ktoś uszkodził falę myśli. Wszystko jest teraz jasne. Powiedz pan, proszę,

panu Clément, że kartą, o której myśli, jest ósemka coeur".

W tym momencie uznał Henry Boulogne za odpowiednie przeskoczyć jednym susem przez otwarte okno. Gussy wydała głośny okrzyk przestrachu i rzuciła się w ramiona kochanka. Baron Clément zbladł jak kreda. Henry uśmiechał się ironicznie.

— Proszę mi moje nocne najście wybaczyć. W chwili, gdy na arkuszu papieru zobaczyłem numer telefonu, zbudziło się we mnie podejrzenie. I nie omyliłem się, przekonały mnie o tem pani słowa... Mlle Héribal. Zresztą jest to wspaniały trick, ha, ha, ha! Moje uznanie, panie baronie!....

— Czego żąda pan za milczenie, Boulogne?! — wykrzyknął Clément, zbliżywszy się do niego.

Zmierzyli się przenikającem spojrzeniem.

Nagle po twarzy Boulogne'a przeszedł delikatny uśmiech. Zrobił szybki ruch ramionami i przemówił bardzo wolno i dobitnie:

— Panie de Clément — my uprawiamy jednakowy zawód, niema więc się pan czego obawiać!... Ja stosuję w swej pracy te same tricki, co i pan, ale przyznaję, że pańskie są więcej wyrafinowane i doskonalej wykombinowane... tak że jeszcze od pana nauczę się czegoś... W każdym razie moglibyśmy się wzajemnie bardzo dobrze uzupełniać!... Proponuję panu wobec tego spółkę — zgoda?

Po upływie dziesięciu minut pakt został zawarty.

Clément Passal zrzucił maskę...

Henry Boulogne, prawie jednakowo niebezpieczny aferzysta i wagabunda, opisał w doskonałym humorze niektóre specjalnie oryginalne i wyróżniające się wypadki ze swej „praktyki", ale daleko nie dorównywały one w swych finezjach czynom Passala, który dopiero przed krótkim czasem połączył się z Mlle Gussy. Do niedawna zaś utrzymywała się z nieuczciwej gry wraz z kochankiem, Feliksem Bachelet, zbankrutowanym aptekarzem...

Przeszło rok oszukiwała ta dostojna trójka całą Francję. Passal nabył zamek Prieuré pod Paryżem. Bachelte został również przyjęty.

Pewnego dnia jednak, Clément Passal został przyłapany. Ale nie wiele można mu było dowieść: wykręcił się karą kilku miesięcy więzienia, za odkryte, drobne gałgaństwo. Towarzysze gorączkowo oczekiwali jego powrotu...

A już w dwa miesiące po odbytej karze, Paryż, obiegła wielka sensacja. Dzienniki bulwarowe doniosły na początku października 1929 r. na pierwszej stronie o sensacyjnym wypadku kryminalnym:

Aferzysta, przez tajny związek żywcem pogrzebany.

Francuski Kuklux-Klan przy pracy!

Od krótkiego czasu otrzymywały gazety oraz osoby prywatne listy, z podpisem „Rycerze Temidy", w których, z jaknajdokładniejszem określeniem miejsca i czasu, donoszono, że w lasku pod Versailles niejaki Markiz de Champaubert, został żywcem pogrzebany, przez autorów listu. Podejrzewano zrazu mistyfikację, jednak dochodzenia potwierdziły doniesienia listów anonimowych.

Sądowo - lekarskie oględziny trupa, jak również wystająca z trumny rura metalowa, nasuwały przypuszczenie, że domniemany markiz Champaubert, który, jak się okazuje, był identycznym z aferzystą Klement Passalem, został rzeczywiście żywcem pogrzebany i wskutek głodu czy uduszenia zmarł.

Nazajutrz czytano w „Matin":

„Tajemnicza afera zbrodnicza, odnalezienia zwłok żywcem pogrzebanego aferzysty Passalam, alias de Champauberta, zatacza coraz szersze koła, gdyż tak zwani, „Rycerze Temidy", którzy do tego wstrętnego mordu sami się przyznają, oświadczyli, iż działali jako Mściciele Ludzkości względnie jako Wykonawcy nieudolnej Justycji. Dowodzą tego listy, jakie gazetom (również i nam) przesłali. Jeden z tych listów brzmi dosłownie:

„Francuskie władze sądowe zostały zniewa żone i ośmieszone. I to jest powodem powstania naszego związku, który nadał sobie nazwisko „Rycerze Temidy". Zaprzysięgliśmy sobie wzajemnie wszelką zdradę karać śmiercią, trzymać się razem i milczeć".

Dalej następuje opis śmierci pseudo - markiza, który, jak zresztą odnalezienie trupa potwierdza, został pogrzebany przy szosie, i który przez rurę metalową do grobu swego powietrze dostawał, tak, że w końcu śmiercią głodową skończył.

Matka ofiary została powiadomiona listem przez „Rycerzy Temidy", a do listu tego załączony był kwit, wystawiony na rzeczy, oddane do przechowalni dworcowej. Walizka zawierała ubranie ofiary.

Pseudo - markiz za życia swego specjalizował się w obrabowywaniu jubilerów za pomocą chloroformu. W tym celu wynajął zamek Prieuré i tam zastawił pułapkę na ludzi. Po odbyciu ostatniej swej kary więziennej, skomunikował się z firmami wydawniczemi w sprawie wydania „pamiętnika przestępcy" a la Manolescu.

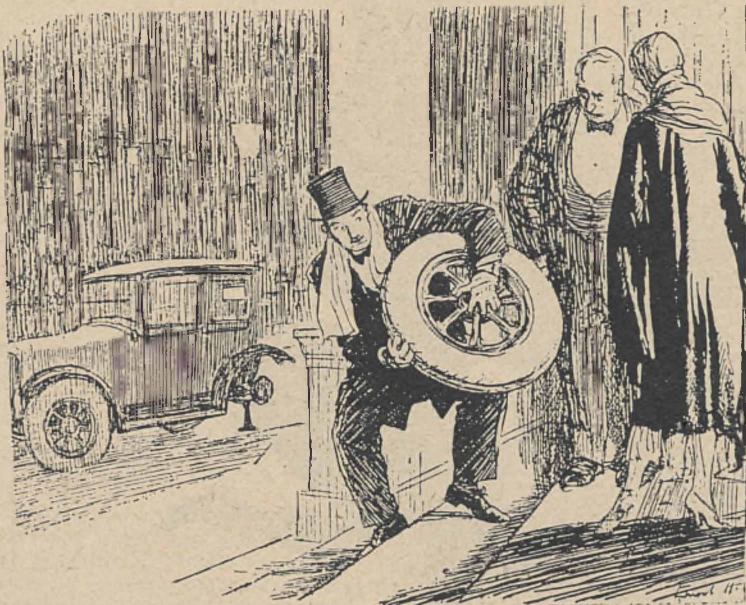
Po krótkim czasie gazety paryskie zamieściły artykuły o sensacyjnym tytule:

Śmiertelny trick reklamowy!

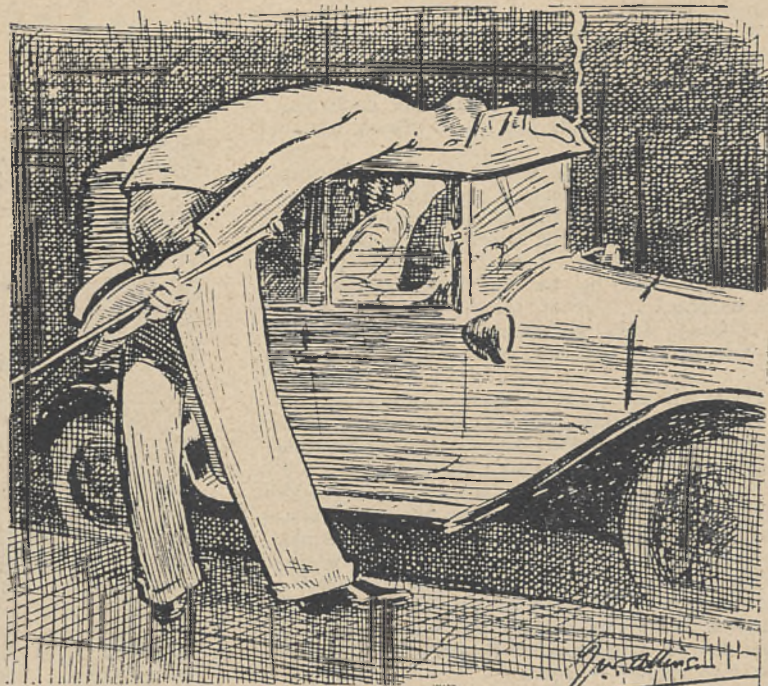
Żywcem pogrzebany, celem zwrócenia na siebie uwagi.

(D. c. n.)

Humor



Najlepszy środek przeciwko złodziejom automobilowym.



Dobranoc, kochanie.

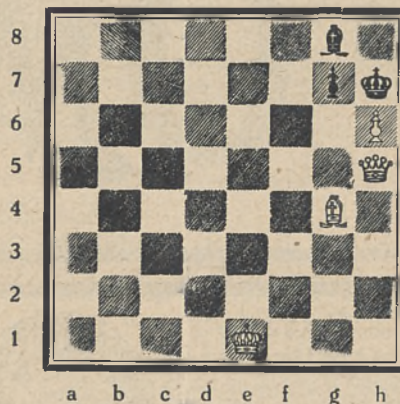
ROZRYWKI UMYSŁOWE

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR. 44.

s	t	r	a	c	i
	e	u	p	e	n
o	r	d	o	n	
s	m	o	k	i	
s	o	l			u
a	s	f	a	l	t

SZACHY

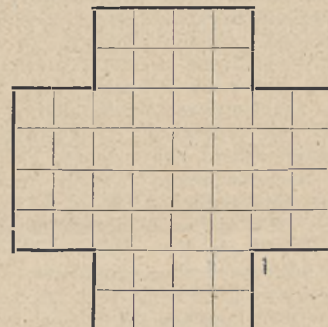
Dr. Mach.



Mat w 2 posunięciach.

KRZYŻ MAGICZNY,

ułożył p. Franciszek Jenner.



Litery: a a a a, b b, c c c, ć ć ć ć, ę ę, i i i i, k k k k, l l, ł, n n n n n, o o o o o o, r r, s s s, w w, z z z z, należy tak umieścić w powyższym krzyżu, żeby dały pionowo i poziomo następujące wyrazy:

1) miejscowość kuracyjna w Polsce, 2) sprzęt kościelny, 3) inaczej uwaga, 4) inaczej rozwlekać.

Wśród książek

Stanisław Strumph Wojtkiewicz. — Dramat w Ojczyźnie — Skł. gł.: Dom Książki Polskiej, Warszawa, 1931.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz, na którego już od kilku lat krytyka zwracała uwagę, podkreślając jego wybitny talent, wydał w niespełna rok po „Grążu", drugą, niezmiernie ciekawą powieść, która z pewnością wywoła obszerną dyskusję. „Dramat w Ojczyźnie" bowiem, pomijając wysokie walory literackie i doskonałą konstrukcję, jest rzeczą, w której autor porusza szereg zawiłych zagadnień, nurtujących każdego z nas bez wyjątku, a zwłaszcza młodsze, wojenne pokolenie. Śmiało i bez ogródek traktuje sprawy, o których wielu z nas, niestety, mówi tylko szeptem, bojąc się własnego cienia.

Rzecz cała postawiona jest, że tak powiem — po żołniersku.

I to właśnie, o ile chodzi o samego autora, jest najciekawszą stroną „Dramatu w Ojczyźnie". Bo jeśli wrócimy do pierwszej jego książki „Generała Maja", rzeczy pisanej również po żołniersku, lecz odnoszącej się do okresu czynu na froncie, to nic w niej niema sarkazmu i żółci. Jedno tylko — humor i swada junacka, któremi autor potrafi nas rozśmieszyć, a chwilami i wzruszyć. Tu natomiast mowa jest o obywatelu, który, spełniwszy swój obowiązek w polu, z odwagą i zaparciem się siebie, choćby w najcięższych opresjach, powraca do życia pokojowego, lecz musi kapitulować, gdyż nie może wydostać się z „grążu", w którem z lubością depcą na miejscu ludzie „tyłowi". Więc wkłada autor w usta swego bohatera tragiczną refleksję: „Pulsuję żądzą czynu i nie daję sobie poprostu rady ze światem dzisiejszym, który wprowadzałem w ruch i pchałem w kierunku polskiego dziś... Mój świat wyprzedza mnie i mija i grozi, że zniknie mi z oczu. Już widzę następców. Pewnie niedługo zostanę zasuszony i zabalsamowany i włączony do zbioru innych czynników przemiany niby wielkiej, a przecież drobnej na tle gigantycznego zbioru spraw, które złożyły się na całość nieskończoną wieków i tysiącleci".

Tak mówi człowiek w pełni sił, który z pewnością zdobyłby się jeszcze na czyn w polu, lecz tu, w wyśnionej Ojczyźnie, został przedwcześnie spalony, odarty z wiary, pozbawiony wszystkiego, bo nawet własnego domu. Sam może zawinił, gdyż poddał się, zastygł w bierności...

I zapóźno upomina go przyjaciel, mówiąc, iż „działać należy zawsze, choćby nawet czasami błędnie... Trzeba ci było działać chociażby w twoim skromnym zakresie — w domu!". Zapóźno... Spalił się, a jedyną jego pociechą jest to, iż może od czasu do czasu przyjść do wielkiego cierpiętnika, ofiary wojny, pół-trupa pozbawionego niemal życia i konającego od szeregu lat — i przed nim wylać swe żale.

„Dramat w Ojczyźnie" do głębi wzruszy każdego, kto książkę tę weźmie do ręki. Wzruszy i wywoła szereg refleksyj nad sobą samym i nad rolą do odegrania wśród innych — dla kraju.

Powstanie listopadowe — Alicja Bełcikowska, Warszawa, 1930, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

Z okazji aktualnej dziś setnej rocznicy powstania listopadowego Wojskowy Instytut Naukowo - Wydawniczy wydał niezwykle pożyteczną pracę p. t. „Powstanie listopadowe". Praca ta składa się z prelekcji, pieśni powstańców, poezyj powstańczych, wreszcie poezyj wieszczów naszych oraz poetów współczesnych o powstaniu.

Prelekcja zawiera krótko i popularnie ujętą historję powstania. W dziale pieśni powstańców czytelnik znajdzie 36 pieśni, z których 32 zaopatrzone są w nuty, przygotowane na chóry trzygłosowe przez prof. Stanisława Kazurę. Poezyj powstańczych jest 13, pióra Garczyńskiego, Gosławskiego, Gaszyńskiego i Goszczyńskiego. W ostatnim rozdziale autorka zebrała 9 poezyj o powstaniu — wieszczów naszych: Słowackiego, Wyspiańskiego, Mickiewicza, oraz 7 poezyj poetów współczesnych Orota, Relidzyńskiego i Dębickiego. Pracę zdobi 20 ilustracyj, stanowiących fragmenty batalistyczne najcelniejszych malarzy, oraz portrety wybitnych lub znanych naówczas postaci.

Książka nadaje się zarówno jako materjał do przygotowania obchodu powstania listopadowego, jak i jako ciekawa lektura. Należy nadmienić, że książka ta została polecona do użytku w szkołach wszelkich typów przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

SAME BLIŹNIAKI...

Taka już poszła passa. I to wszędzie, na wszystkich estradach świata. O ile jednak jest rzeczą obojętną, czy tańczy na estradzie zwykła para tancerek, czy bliźniaczek — o tyle w innych okolicznościach bywa daleko gorzej. Weźmy chociażby położenie nauczyciela w szkole, który nie może sobie dać rady z nabieraniem go przez bliźniaków. Rekord w tym względzie notujemy oczywiście w Ameryce, oto bowiem dowiadujemy się, iż do jednej ze szkół w San Francisco uczęszcza aż 14 par bliźniaków obojga płci.



Poważną konkurencję słynnej parze Dolly Sisters stworzyły bliźniaczki Epp Sisters. Idealnie podobne do siebie, jak dwie krople wody, budzą powszechną sensację, zwłaszcza, że odznaczają się niezwykłym talentem w tańcu.



Dodge Sisters.



Guy Sisters.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50, półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk. Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.